CENA 50 GR.

NARÓD i PAŃSTWO

TYGODNIK

ROK II. WARSZAWA, 16 Maja 1937 R. NR. 19-20

12. V. 1935.

Dzień 12 maja roku 1935. Po chmurnych miesiącach niejasnych złowróżbnych przeczuć, wyszeptywanych niekiedy, lecz w treści swej jak gdyby poza sferą możliwości leżących pogłosek — nadeszła tragiczna noc pewności.

Wobec żałoby chwili — ludzie stanęli niemi! — Pierwsza przemówiła stała towarzyszka wielkości: — Poezja, ukazując wymowną wizję, jak „niosącemu brzemię" odjął je z ramion „najpierwszy, najmiłosierniejszy anioł", jak otoczyła go „najcichsza ze wszystkich Cisz...", jak udziałem Jego stało się po raz pierwszy „Zwycięstwo nareszcie bez krwi" i „Wiedza bez kropli trucizny".

„Niosącemu brzemię!" W słowach tych zawarta była bodajże najgłębsza prawda życia Józefa Piłsudskiego, podobnie jak w słowach o krwawo okupywanych zwycięstwach, podobnie jak we wspomnieniu o sączonej nieustannie truciźnie. Z tych trzech elementów składało się życie Józefa Piłsudskiego od chwil, w których młodzieńczem zaczął się zastanawiać „nad Narodem, z którym mię wiązało wszystko, co cieszy i wszystko, co boli, wszystko co we mnie myśli i wszystko co czuje", aż po ostatni podpis, położony już stygnącą niemal ręką pod nową ustawą konstytucyjną. Całe to życie wypełnione było brzemieniem niezmiernej odpowiedzialności, tej odpowiedzialności, jaka jest udziałem ludzi, którzy czują się widzącymi wśród ślepych, czującymi wśród nieczułych, zbudzonymi wśród śpiących.

*

Odpowiedzialność ta, na najwyższą miarę ludzką, jest udziałem „szlachetnego socjalisty", który w najtrudniejszych warunkach pracy podziemnej skupia około siebie skromne szeregi zdecydowanych na wszystko towarzyszy, by z nich uczynić żołnierzy niepodległości, walczących niemal bez nadziei zwycięstwa, lecz na ołtarzu tej walki składających wszystko: pracę i krew, wolność i życie, nawet, często, honor własny, szarpany, według słów Żeromskiego, przez „dziennikarza polskiego, który z zadeptywania ogniów idei żyje", którego rzemiosłem stało się łączenie „szlachetnego cienia żołnierza z widmem łotra, który po śladach idzie i chwyta łup".

Odpowiedzialność na najwyższą miarę historii jest później udziałem Wodza-Powstańca, który wyprowadził garstkę młodzieży na pola historii, na których ścierały się milionowe armie, który miał przeciwko sobie wszystkich: otwartych wrogów, pozornych sprzymierzeńców, lwią część własnego Narodu. Za sobą miał garstkę ludzi, oddanych na śmierć i życie, wspomnienie przegranych walk powstańczych przeszłości, wreszcie wielką intuicyjną świadomość, że siła ducha jest nie mniej realną wartością historii, niżeli siła liczby i siła oręża.

Odpowiedzialność na miarę nadludzką jest w następstwie udziałem Wodza, który byt odzyskanego takim wysiłkiem Państwa stawia na kartę nieuniknionej walki, odrzucając wszelkie łudzące i wygodne myśli o pokoju niepoprzedzonym zwycięstwem.

Odpowiedzialność na miarę nadludzką jest udziałem Męża Stanu, który narodowi ledwo wyzwolonemu, zmęczonemu, nie wierzącemu we własną siłę, niepewnie jeszcze patrzącemu w przyszłość, narzuca wielkie koncepcje polityczne i historyczne, który każe mu wierzyć, że odzyskanie niepodległego bytu może być traktowane tylko jako otwarcie, nie zamknięcie okresu historycznych zadań i historycznej odpowiedzialności.

Odpowiedzialność na miarę nadludzką staje się wreszcie udziałem Kierownika Państwa, który stopniowo, lecz coraz jaśniej i wyraźniej dostrzega, że jeśli chodzi o utrwalenie bytu tego Państwa, to nie pomoże żadne, największe i najświetniejsze zwycięstwo nad nieprzyjacielem zewnętrznym, o ile nie zostaną przełamane i bezpowrotnie odrzucone czynniki słabości wewnętrznej, głęboko tkwiące w duszy zbiorowej Narodu.

Odpowiedzialność ta, do dni ostatnich niesłabnąca, niezmniejszona, niepodzielona niemal, przygniatająca barki niemniejszym ciężarem przyszłości, niźli był ciężar podźwigniętej już i zwycięsko uniesionej przeszłości — to ostatni etap nadludzkiego wysiłku Józefa Piłsudskiego. I czyż w tych warunkach nie są prawdą słowa poezji:

„Ojczyzno, Ojczyzno, Ojczyzno,
pokój ci!
Uniosłem cię ze sobą cięższą niźli cały
wszechświat,
a teraz nie ja ciebie, ale ty mnie niesiesz,
nie jak zwierzę wysilone, ze zmęczenia mokre,
ale jak z rozpiętymi żaglami najpiękniejszy okręt,
co pewien swej dzielności i gwiazd co go wiodły
mnie wywiesił na maszcie, mnie — Imię, mnie —
Godło."

*

Pół wieku historycznej pracy Józefa Piłsudskiego, to szereg klęsk i szereg zwycięstw: klęsk, które często zamieniały się w zwycięstwa, zwycięstw, które przeważnie krzepły w niecofnione etapy historii.

Lecz cena zarówno tych klęsk, jak zwycięstw, była przeważnie ogromna. Najmniejszą stawką były przegrane własnych lat, spędzonych w więzieniach, czy na wygnaniu. Lecz były stawki bez porównania kosztowniejsze. Obfitował w nie okres akcji bojowej, prowadzonej w ramach P. P. S. Z całą wyrazistością występuje to zagadnienie w liście pożegnalnym do „Feliksa Perla, lub tego, co mój nekrolog pisać będzie", pisanym przed akcją bezdańską, w przewidywaniu ewentualnej śmierci „przy ekspropriacji", w słowach: „Tylum ludzi na to posyłał, tylum przez to posłał na szubienicę, że w razie, jeśli zginę, to będzie naturalną dla nich, dla tych cichych bohaterów, satysfakcją moralną, że i ich wódz nie gardził ich robotą".

A potem przyszły Legiony. Posiew krwi w warunkach o wiele już łatwiejszych, jaśniejszych, choć wciąż jeszcze w osamotnieniu, choć wciąż jeszcze w walce z większością własnego społeczeństwa. Krew szczególnej wartości i ceny, przelewana — zdawałoby się nieraz — w warunkach niemalże beznadziejnych. A równocześnie momenty, w których rzucało się na szale już nie tylko życie i krew żołnierza, ale i naj-

większą wartość za cenę tej krwi nabytą — samo istnienie Legionów.

Wreszcie wojny o byt i granice niepodległego Państwa. Świadomość, że kto „dusze bierze — duszą płaci!". Ciężar decyzji Wodza, który w swoim sumieniu rozstrzyga, ile jeszcze krwi ludzkiej, ile jeszcze serc ludzkich musi być ceną Zwycięstwa.

Maj 1926 — decyzja Wodza najtrudniejsza. Krew przelana w walce najtragiczniejszej, gdzie — jak w robotach akcji bojowej P. P. S. — stawką było nie tylko życie, lecz przede wszystkim honor własny i honor oddanego więcej, niźli na śmierć i życie, Żołnierza. „Niech Bóg, nad grzechami litościwy, nam odpuści i rękę karzącą odwróci!".

Ostatnie walki, ostatnie zwycięstwa, walki toczone po kres życia, zwycięstwa okupione ceną wprawdzie nie krwi, lecz serc szeregu starych towarzyszy pracy, druhów, „z którymi się przemarzyło tyle, przeżyło jeszcze więcej i kochało się dobrze".

I bodajże istotnie pierwszym zwycięstwem bez opłacenia za nie wysoce bolesnej ceny, było to pośmiertne zwycięstwo, nad najbardziej oporną, najbardziej niewdzięczną resztą Narodu, która dopiero w stosunku do Zmarłego uznać musiała, czego odmawiała Żywemu: wielkość i zasługę tej miary, w której nie ma już wymierników dla drobnych porachunków jednego pokolenia, nie ma przynajmniej dla ludzi, którzy umieją docenić znaczenie takich słów, jak Państwo, Naród, Ojczyzna!

Kiedy w pośmiertnej drodze na Wawel przed trumną Józefa Piłsudskiego po raz pierwszy pochyliły się głowy c a ł e g o Narodu, sprawdziła się zapowiedź kiedyś rzucona przed podobnym pogrzebem innego z największych w historii:

„Raz ostatni hetmanisz Ty roty
I zwyciężysz, choć zwycięstwem Golgoty!"

*

Golgotą było całe życie Józefa Piłsudskiego. Kto śledzi ewolucję Jego stosunku do ludzi, bliskich i dalekich, po przez półwiecze pracy i walki — nie może nie dostrzec wielkiej przemiany, której istota tłumaczyć może wiele z tych zjawisk, jakie inaczej pozostawałyby może nierozwiązalną zagadką psychologiczną Wielkości.

Lata pierwsze, lata pracy organizacyjnej P. P. S. — to okres, w którym stosunek Józefa Piłsudskiego do otoczenia jest stosunkiem entuzjasty, człowieka w najtrudniejszych momentach czerpiącego swą siłę z wielkiej pogody duchowej, równocześnie wychowawcy i budziciela o niezmiernych zasobach apostolskiej wprost cierpliwości.

Lata działalności bojowej przynoszą pierwsze zgrzyty. Rozdźwięk między wielkością zamiaru a stosunkiem społeczeństwa do podjętej walki — jest niezmierny. Zjawia się poczucie „gorzkiej bardzo prawdy, że w społeczeństwie, które walczyć o siebie nie umie, które cofa się przed każdym batem, spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tym, co nie jest szczytnym, pięknym i wielkim".

Lata przygotowawcze strzeleckie i lata Legionów, to lata obserwacji niesłychanego kontrastu pomiędzy młodzieńczą, najczystszą, najszlachetniejszą postawą moralną, ofiarnością, ideowością i równocześnie siłą charakteru garści współtowarzyszy pracy, garści rozbudzonej młodzieży, a oportunistyczną trzeźwością, graniczącą niekiedy ze zdradą, znacznej większości społeczeństwa. Lecz w miarę narastania trudności zewnętrznych, narasta siła moralna Narodu. Powstaje znowu więź wielkiej ufności. Pierwszym poczynaniom Naczelnika Niepodległego Państwa towarzyszy ta sama apostolska gorliwość przekonywania, nawracania najbardziej opornych, łagodność wobec przeciwników. Do porządku przechodzi się nie tylko nad otwartymi buntami cywilno - wojskowymi, lecz nawet nad podlejszą metodą insynuacji, nie cofającej się przed zarzutami, że Wódz Naczelny zdradza, że decyzjami Jego kieruje chęć pomniejszenia Ojczyzny.

Przychodzi rok 1920. Okres wielkiej dysproporcji pomiędzy śmiałością historycznej koncepcji Wodza a inercją dużej części społeczeństwa. Wysiłek, który mógł dać największe w dziejach zwycięstwo, społeczeństwo zdolne jest wykrzesać z siebie dopiero w momencie bezpośredniego niebezpieczeństwa. Lecz i w tym momencie walka z wrogiem zewnętrznym toczy się w atmosferze rozkładowego działania szeregu sił wewnętrzno - politycznych, które nie umieją zdobyć się, wbrew wezwaniom najbardziej gorącym, wbrew działaniom najbardziej pojednawczym, na zaniechanie wewnętrznej rozgrywki, na podporządkowanie wszystkiego jednej myśli: myśli o ocaleniu Państwa.

I jeśli porówna się wielkość stawki, wielkość odpowiedzialności Wodza, z małością tego rodzaju złośliwie karlej gry — to nie można się dziwić, że w dysproporcji tej znajdował się posiew trucizny, który nie mógł tak łatwo być z duszy Wodza wypleniony bez śladu.

A przecież następnym niemal etapem po Zwycięstwie był spór przytłaczający swą małością, lecz ważny niezmiernie ze względu na stan duszy zbiorowej Narodu: czy zwycięstwo jest dziełem polskim, czy też wynikiem uzyskania od obcych, choć szczerze przyjaznych, symbolu bezpośredniego zainteresowania w osobie wysokiego rangą dowódcy. W sporze tym były wszystkie te cechy małości, niewiary w siebie, wewnętrznego niezdrowia, które przez lata poprzednie stanowiły o rozbieżności dróg Józefa Piłsudskiego z drogami wielkiej części duchem niewyzwolonego Narodu.

Nastąpiły inne etapy: Uczone, zawiłe, lecz ze stanem istotnego zdrowia Państwa nie dające się pogodzić spory o to, czy Sejm ma prawo narzucić Naczelnikowi Państwa współpracę z wyraźnie wrogo ustosunkowującym się do Niego szefem Rządu. Po tym jedna z największych tragedii całej historii Polski: obrzucanie błotem i w następstwie zamordowanie pierwszego konstytucyjnego Prezydenta Państwa przy bezkarności poduszczeń, zachęcających do pierwszej, powodujących drugą zbrodnię przeciwko Rzeczypospolitej. Dalej okres potęgującej się anarchii sejmowej, niebezpieczeństwo, że w nowej Polsce utrwalać się zaczną w zakresie ustrojowym te same zasady, które spowodowały raz już zgubę w przeszłości: nadmiernie wygodnego liberalizmu, podważającego podstawy siły państwowej. W konsekwencji — wypadki majowe roku 1926 i sięgnięcie siłą po władzę, lecz jeszcze z podkreśleniem zasady: „nie chciałbym rządzić batem!".

Następuje okres ostatni, różniący się silnie od wszystkich poprzednich. Wspólną z nimi cechą jest Geniusz Męża Stanu, który widzi, czego inni nie widzą, osiąga, co dla innych często nie mieści się nawet w kręgu wyobraźni. Lecz wyczerpała się już w tym okresie cierpliwość wychowawcy-apostoła. Miejsce jej zajęła twardość osamotnionego poczuciem swojej odrębności i wyższości twórcy historii. Ze światem dawnej, tak żywej i bogatej uczuciowości, pozostały przede wszystkim dwa łączniki: dzieci i pamięć o zgasłych żołnierzach. Dzieci — jako ziarna niczym jeszcze niezatrutej przyszłości. Pamięć o zgasłych żołnierzach — jako najtrwalszy łącznik pomiędzy sercem Wodza i wielkimi momentami przeszłości. Te dwa tematy są przedmiotem rozważań i słów, w których nie ma miejsca na gorycz i poczucie obcości. Inne— związane są zawsze z niespotykaną dawniej ostrością wyrażeń, surowością sądów, poczuciem niesłychanego oddalenia. W zjawisku tym nie ma nic dziwnego. Zbyt długo „największemu w dziejach Polakowi" wielka część własnego społeczeństwa starała się nieustannie zatruwać duszę, by w duszy tej nie zostawały ślady trucizny. Lecz trucizna ta swoim działaniem nie sięgnęła w najgłębszą sferę miłości: miłości Polski, głębokiej troski o jej przyszłość.

I stąd, jako testament Wodza, znowu z wielką prawdą nie tylko poetycką, mogą być powtórzone słowa cytowanego już parokrotnie wiersza Iłłakowiczówny:

„Ci, którzy mnie kochali, niechaj mi przebaczą
śmierć i niechaj prowadzą dalej to, com zaczął.
A ci, których nienawiść pełza za mną cieniem,
jak śmierć — nieunikniona i jak miłość — wierna,
niech przekują miecz, strzały i noże na lemiesz,
a gdy będą orali nade mną, ja w ziemi
ucieszę się ich orką, nie powezmę złości,
nawet gdy pług niebacznie zaczepi o kości."

*

Czyż trzeba jeszcze dodawać słowa jakiejkolwiek syntezy? — Prawda życia Józefa Piłsudskiego jest niesłychanie prosta. Zamknęła się w jednym słowie: Polska. Ze słowem tym związała się nierozdzielnie. Wymowa tego związku będzie trwać przez pokolenia, nie „jak dźwięk pusty", lecz jako symbol życia „dla Polski" a równocześnie jako ostrzeżenie, że z pojęciem Polski wiązać należy zawsze nie to, co z punktu widzenia chwili jest wygodne, lecz co jest cechą istotnej wielkości: moralną wartość udziału w wielkim pochodzie historii.

Zbigniew Domaniewski

Dewaluacja paktu francusko-sowieckiego

Mało jest faktów politycznych, które by wywoływały tak wiele sprzeciwów, jak pakt francusko-sowiecki. Nie ma chyba faktu politycznego, stworzonego przez Francję z myślą o własnym bezpieczeństwie, który by jej przysporzył tak wiele trudności na terenie międzynarodowym, jak umowa, podpisana przez Lavala w Moskwie 2 maja 1935 r.

Francja zawarła z Sowietami umowę defensywną, identyczną w zasadzie z paktami, jakie spisała z Polską i Czechosłowacją w Locarno w roku 1925. Celem tych umów było stworzenie wzajemnej gwarancji, że w razie uchwalenia przez Ligę Narodów sankcji wojskowych w obronie jednego z kontrahentów, drugi nie uchyli się od ich wykonania. Biorąc rzecz teoretycznie — a Francuzi mają wrodzoną skłonność do abstrakcji, szczególnie, gdy odpowiada ona ich interesom—wszystko było w porządku: Francja i Rosja wniosły do życia międzynarodowego nowy element, który miał wzmacniać bezpieczeństwo zbiorowe, fundament Ligi Narodów. Sprzeciwy, jakie wywołał w Europie pakt francusko-sowiecki, mogły się więc wydać z tego punktu widzenia nieuzasadnione.

Inaczej jednak przedstawia się ta sprawa z punktu widzenia praktycznego. Rosja ma obowiązek pomagać zbrojnie Francji, w razie, gdyby Francja uległa napaści niesprowokowanej i gdyby Liga uchwaliła sankcje wojskowe. Przyjmijmy na razie, że wchodzi w grę agresja niemiecka. Otóż Rosja nie ma wspólnej granicy z Niemcami. Jasne więc było od początku, że pakt francusko-sowiecki wymaga uzupełnienia w postaci zobowiązania innych państw, graniczących z Sowietami, względnie z Niemcami, że przepuszczą w razie potrzeby przez swe terytorium armię sowiecką. Do odegrania takiej roli w razie wojny francusko-niemieckiej, p. Laval, spisując swój pakt, chciał przeznaczyć Polskę — graniczącą zarówno z Niemcami, jak i Sowietami — Czechosłowację i Rumunię. Dla Francuzów — którzy przecież myślą abstrakcyjnie! — problem był jasny i prosty. Polska i Czechosłowacja są sojuszniczkami Francji. W razie napaści Niemiec na Francję, zaatakują Niemcy. Powinny więc przyjąć na swe terytorium z otwartymi ramionami trzecią sojuszniczkę w walce ze wspólnym wrogiem, mianowicie Rosję sowiecką. Rumunia nie ma wspólnej granicy z Niemcami, a więc może — myśleli Francuzi — bez narażenia się na niebezpieczeństwo, dać prawo przemarszu armii sowieckiej.

Pakt francusko-sowiecki wymagał, aby w razie wojny między Francją a Niemcami przemaszerowały przez wschodnią część Europy Środkowej miliony sowieckich żołnierzy, którym by towarzyszyły tysiące indywiduów korpusu administracyjnego, czyli agentów rewolucyjnych. Jednym słowem, koncepcja Lavala implikowała, że Europa Środkowo-Wschodnia, ruszając do słusznej walki z Niemcami, zaczerpnie przy tej sposobności do głębi swych płuc społecznych roje bakcyli komunistycznych. Otóż to — bezsprzecznie — nie było ze strony Francji w stosunku do Europy „w porządku" i musiało też wywołać stanowcze sprzeciwy.

Nie zaciemnia tego okoliczność, iż Czechosłowacja nie tylko, że się nie sprzeciwiała, ale jeszcze przyklasnęła paktowi francusko-sowieckiemu. Czechosłowacja zawarła nawet z Sowietami pakt wzajemnej pomocy. Spowodowało to, że Czechosłowacja stała się organiczną częścią francusko-sowieckiego systemu asekuracyjnego. Jest dziś ona, w przeciwieństwie do Polski, nie tylko sojuszniczką Francji, ale i Rosji. W przeciwieństwie do Polski, Rumunii i państw bałtyckich, Czechosłowacja daje Francji umowną gwarancję, że w razie potrzeby zezwoli na przemarsz armii sowieckiej. Konsekwencje tego są niezmiernie doniosłe, w związku z faktem, że Czechosłowację dzieli od Rosji tylko stosunkowo wąski pas terytorium polskiego, Małopolska południowo-wschodnia. Gdyby pas ten nie istniał, nie istniałby również moment co najmniej poważnej trudności, jaki w działaniu paktu francusko-sowieckiego stanowi okoliczność, że Polska i Rumunia oddzielają Rosję od Czechosłowacji. A więc Francja, opierając bezpieczeństwo swe na pakcie z Sowietami, musiałaby milcząco aprobować dążenia Czechosłowacji do uzyskania kosztem Polski wspólnej granicy z Rosją. To też Czechosłowacja, godząc się na ryzykowną koncepcję przemarszu sowieckiego, czyniła to nie tylko w imię „bezpieczeństwa zbiorowego", lecz również w imię swego tradycyjnego planu uczynienia z Małopolski południowo-wschodniej przedłużenia „korytarza", prowadzącego z Czechosłowacji do Rosji, czy Ukrainy.

Dla Polski opieranie przez Francję bezpieczeństwa swego na pakcie z Sowietami przedstawia podwójne niebezpieczeństwo: jedno — nożyce czechosłowacko-rosyjskie, drugie — ewentualny napór ze strony sprzymierzonej Francji, aby Polska wpuściła na swe terytorium siły i czynniki rosyjsko-sowieckie.' Trzeba mieć iście francuski, egocentryczny sposób oceniania wszystkiego, aby się dziwić, że Polska w tych warunkach odrzuca kategorycznie ideę paktu francusko-sowieckiego, jako normalnego elementu współżycia międzynarodowego. Natomiast nie mógł wywołać zdziwienia u nikogo zapał, z jakim Sowiety przystąpiły do umowy asekuracyjnej z Francją. — Cóż za cudowna możliwość „pomacania Europy bagnetem", jak się wyraził swojego czasu Lenin. Sposobność pomacania Europy bagnetem w roli „obrońcy powszechnego pokoju", a równocześnie okazja do zainstalowania agitatorów tam, gdzie w normalnych warunkach drogo to kosztuje i z trudnością tylko się udaje.

Sowiety zawarły z Francją pakt wzajemnej pomocy głównie z myślą o takich właśnie możliwościach. Dla ich urzeczywistnienia potrzebna była Sowietom wojna, w której walczyłaby Francja. Rozwój wydarzeń politycznych na Zachodzie z początkiem roku 1936 zdawał się sprzyjać planom sowieckim. Wojna Anglii z Włochami wisiała na włosku, stosunki Francji z Włochami psuły się widocznie. Niemcy zremilitaryzowały Nadrenię, co znów wywołało utworzenie zwartego frontu Anglii, Francji i Belgii przeciwko Niemcom hitlerowskim. Z drugiej znów strony zarysowywał się front włosko-niemiecki. Zwycięstwo „Frontu Ludowego" we Francji dało francuskiej filii Kominternu 72 miejsca w Parlamencie, a wreszcie w Hiszpanii rozpoczęła się wojna między Włochami i Niemcami a Kominternem.

Komintern zebrał się kuć żelazo, póki było gorące. Jak donosił 1 grudnia 1936 r. korespondent paryski „Gazety Polskiej", nazajutrz po ogłoszeniu traktatu niemiecko-japońskiego o zwalczaniu Kominternu, „ambasador sowiecki, p. Patiomkin, zgłosił się na Quai d'Orsay i zaalarmował ministra spraw zagranicznych, p. Delbosa. Stwierdził on, że Rosja sowiecka czuje się bezpośrednio zagrożona i wobec tego Francja powinnaby przedsięwziąć odpowiednie środki. Gdzież zagrożona i gdzie, w jakich warunkach, miałaby nastąpić francuska reakcja? Na granicy Renu? Bynajmniej. Zapewniają, że p. Patiomkin nastawał usilnie na przyśpieszenie francuskiej solidarnej ratowniczej interwencji... w Hiszpanii! Gdyby zaś to nie było dość jasne, to rodzimi komuniści francuscy, którzy nie działają inaczej, jak według ścisłych instrukcji Kominternu, przyczynili się jednocześnie do postawienie kropki nad i: nazajutrz po ogłoszeniu układu parlamentarna grupa komunistyczna złożyła wniosek w komisji

spraw zagranicznych, domagając się w sensie repliki przeciwko niemieckiej ofensywie, natychmiastowej interwencji w Hiszpanii... Podczas obchodu żałobnego, który odbył się w Paryżu w dzień pogrzebu ministra Salengro, dobrze przygotowane chóry komunistyczne skandowały bez przerwy: Blum — Hiszpania! Blum działaj! Blum broń nas!... Poprzedniego dnia, wśród gwizdania i kociej muzyki, centurie komunistyczne wyły równie rytmicznie: Blum zdrajca! Blum stchórzył! Blum broń Hiszpanii! Toż samo powtórzyło się w kilka dni później na wiecu antyfaszystowskim i to w czasie przemówienia premiera". Komintern starał się w ten sposób osiągnąć, za pośrednictwem 72 francuskich deputowanych komunistycznych i podległych im mas, cel, dla którego Sowiety podpisały pakt wzajemnej pomocy z Francją i Czechosłowacją: „pomacanie Europy bagnetem".

Przebieg wydarzeń, w razie gdyby nacisk Kominternu na rząd francuski okazał się skuteczny, byłby pewnie taki: rząd francuski zasiliłby rządową armię hiszpańską. Dałoby jej to zdecydowaną przewagę nad powstańcami, gdyż Francja, granicząc z Hiszpanią, ma większe możliwości poparcia stron walczących, niż Włochy i Niemcy. Oba te mocarstwa, chcąc zapewnić gen. Franco zwycięstwo, musiałyby zaatakować Francję, co wywołałoby wojnę na całym froncie zachodnim, od La Manche do Morza Śródziemnego. Liga Narodów wezwałaby oczywiście Sowiety dla obrony sprawy „powszechnego pokoju". Obronę tę Sowiety pojęłyby w ten sposób, że skoncentrowałyby gros wojska na Dalekim Wschodzie, broniąc pokoju na własnym terytorium, a na pole walki w Europie wysłałyby tyle tylko wojska, ile potrzeba, aby wśród burzy wojennej rozdmuchnąć zarzewie rewolucji światowej.

Szczęściem rząd francuskiego Frontu Ludowego okazał się istotnie rządem ludu francuskiego, a nie narodu kominternowskiego. Pomimo dorad moskiewskiego i wezwań francuskiego Kominternu, nie spieszył się z wywoływaniem, a przynajmniej przyspieszaniem wojny europejskiej, utrzymując się niezachwianie na płaszczyźnie nieinterwencji. Uświadomiło to Sowiety, że nadzieje ich na wywołanie wojny powszechnej przez agentów parlamentarnych Kominternu we Francji są bardzo kruche. Otóż to, wydaje się nam, było pierwszym krokiem do dewaluacji paktu francusko-sowieckiego, oczywiście dewaluacji w stosunku do parytetu sowieckiego, a więc parytetu, opartego raczej o tendencje wzięcia udziału w wojnie, aniżeli uczestnictwa w mechanizmie pokoju powszechnego, który implikuje zapobieganie wojnie.

Dewaluacja paktu francusko - sowieckiego odbywa się i w stosunku do parytetu francuskiego. Francja zawarła z Sowietami pakt wzajemnej pomocy w celu podwójnym. Po pierwsze, aby mieć zapewnionego jednego więcej i to silnego sojusznika na wypadek, gdyby uległa napaści. Po drugie, aby nie dopuścić do napaści Niemiec na Sowiety, co Francja uważa — słusznie zresztą — za część własnej racji stanu. Pierwsze wymaga, aby armia sowiecka mogła przemaszerować przez terytorium państw środkowo - wschodnich. Postulat ten łączy się z art. 16 alinea III paktu Ligi Narodów, ustanawiającym dla członków obowiązek dania prawa przemarszu armii sankcyjnej. Artykuł ten posiada już bogatą przeszłość, nota bene stanowiącą jeden z rozdziałów historii stosunków niemiecko-sowieckich. Komentując wydarzenia, związane z wejściem Niemiec do Ligi Narodów, znany profesor prawa międzynarodowego, Mendelsohn Bartholdi, pisze, że w roku najazdu bolszewickiego na Polskę, Francja „proponowała Niemcom, iż ułatwi im niezwłoczne wejście do Ligi Narodów, jeśli tylko Niemcy otworzą swe granice dla armii francuskiej, idącej z pomocą Polsce. Niemcy odmówiły. Jednak jako członek Ligi Narodów mogły być zmuszone do dania prawa przemarszu na podstawie art. 16. Niemcy wysunęły przeciwko temu artykułowi objekcję, że są rozbrojone i byłyby bezbronne wobec armii cudzoziemskiej, znajdującej się na ich terytorium. Ale sprzeciwiłyby się przemarszowi z innego względu: gdyby pozwoliły na przemarsz wojsk, przeznaczonych do walki z bolszewikami, zdobyłyby sobie przez to nienawiść Rosji i wywołały u siebie opozycję robotników pro-sowieckich". Historia dyplomatyczna art. 16 alinea III zaczęła się więc na gruncie starania o dobre stosunki niemiecko-sowieckie. Dziś na odwrót rozgrywa się na gruncie antagonizmu niemiecko-sowieckiego.

Przeciwstawienie to uwypukla się jeszcze przez fakt, że — jak się wydaje — historia art. 16 alinea III dobiega końca. Zważmy bowiem: Niemcy, wstępując w roku 1925—6 do Ligi Narodów, wytargowały dla siebie zwolnienie od zobowiązań przemarszowych, umożliwiając sobie tym samym zaciśnięcie więzów, nawiązanych z bolszewikami w Rapallo. Gdy jesienią roku 1936 w związku z kryzysem hiszpańskim zawisła nad Europą groźba wojny francusko-niemieckiej, Belgia zaczęła starać się o uwolnienie jej od zobowiązań przemarszowych, stworzonych w Locarno na gruncie założeń ligowych. Zobowiązania te, potwierdzone przez Belgię w deklaracji londyńskiej 19 marca 1936 r., odznaczały się wymaganym automatyzmem. Belgia uzyskała zwolnienie od tych zobowiązań 24 kwietnia b. r. i teraz znów występuje z inicjatywą, aby art. 16 alinea III paktu Ligi poddać ścisłej, w każdym razie restryktywnej interpretacji. Duch czasu jest więc bezsprzecznie przeciwny przemarszom, co do których istniałyby jakieś ogólnikowe zobowiązania. Na płaszczyźnie polityki francusko-sowieckiej ten antyprzemarszowy duch czasu powoduje oczywiście gwałtowną dewaluację paktu wzajemnej pomocy. Cóż bowiem za wartość obronną może mieć dla Francji umowa defensywna z Sowietami, jeśli armia sowiecka nie będzie mogła wyjść poza granice Z.S.R.R.? Z dwóch racyj, dla których Francja zawarła pakt z Sowietami, pierwsza — defensywna — w następstwie rozwoju nastrojów antyprzemarszowych odpada. Mamy wszelkie dane przypuszczać, że Polska, Rumunia i państwa bałtyckie nie zezwolą na przemarsz armii sowieckiej, gdyż pociągałoby to za sobą niebezpieczeństwo zbolszewizowania Europy. Naodwrót, wydaje się, że Polska, Rumunia i inne państwa, położone między Rosją a resztą Europy, utworzą jakby kordon sanitarny, chroniący Europę przed ewentualną sankcyjno-ligową inwazją bakcyli komunistycznych.

Druga racja, dla której Laval zawarł z Sowietami pakt wzajemnej pomocy, wymaga, aby Niemcy nie mogły zaatakować i w razie zwycięstwa usadowić się w Rosji. Lavalowi mogło się wydawać, że Polska, zawierając z Niemcami pakt o nieagresji, faworyzowała ich agresywne plany rosyjskie. Mogło się więc Lavalowi wydawać, że jedynym sposobem powstrzymania Niemiec od napaści na Rosję, jest uświadomienie im, że atakując Rosję, musiałyby również walczyć z Francją. Ale od dnia 2 maja 1935 r. po dziś dzień przeszedł okres czasu, który wystarczył, aby we Francji zrozumiano należycie politykę zagraniczną Polski. W dodatku upadła w Rumunii polityka Titulescu i ludzie we Francji uświadamiają dziś sobie, że pas izolacyjny państw neutralnych, odgradzających Niemcy od Rosji, zaczyna się stawać rzeczywistością. Oczywiście w takich warunkach nie może już być wątpliwości, iż troska o to, aby Niemcy nie zaatakowały Rosji i tam się nie usadowiły, nie wymaga paktowania z Sowietami, lecz sprowadza się do tego, aby pas neutralny był dostatecznie silny.

Ostatecznie więc bieg wydarzeń politycznych dewaluuje zdecydowanie pakt francusko-sowiecki i to dla trzech przyczyn: Sowiety widzą, że pakt ten nie stanie się w ich ręku narzędziem wojny i rewolucji powszechnej. Francja przekonywuje się coraz to dobitniej, że gdyby została zaatakowana przez Niemcy lub Włochy, to pakt z Sowietami nie gwarantuje — mimo pospiesznych i chętnych usług Czechosłowacji — wprowadzenia armii sowieckiej na granice włoskie i niemieckie. Jako instrument polityczny, mający gwarantować, że Niemcy nie usadowią się w przebogatych przestrzeniach rosyjskich, pakt francusko-sowiecki staje się zaś bezprzedmiotowy; odrzucenie koncepcji przemarszowej oznacza również automatyczną ochronę przed najazdem niemieckim, gdyż zamyka armii niemieckiej drogę do Rosji.

Jeżeli w bliższej czy dalszej przyszłości niebezpieczeństwo opanowania Francji przez wpływy komunistyczne będzie całkowicie usunięte, a równocześnie realizacja „pasa izolacyjnego" między Rosją a Niemcami ostatecznie się urzeczywistni, to pakt francusko-sowiecki, wywołujący poważne niebezpieczeństwa dla Polski i całej Europy, straci powoli dla obu kontrahentów wszelką wartość i zakończy swe istnienie spokojną śmiercią zapomnienia.

Józef Korpała

Naród a państwo

Na marginesie książki Olgierda Górki

I. Polska literatura polityczna jest niesłychanie uboga. Pojawienie się poważnej książki politycznej jest u nas rzadkim wydarzeniem, aczkolwiek mnóstwo ważkich problemów wymaga prześwietlenia ich nie pod kątem jednej doktryny, ale z różnych punktów widzenia. Dopiero w ostatnich latach zaznaczyło się pewne ożywienie w literaturze publicystycznej, której ośrodkiem zainteresowań stały się zagadnienia wsi. Z poważniejszych publikacji ideowo-politycznych, rozpatrujących najbardziej palące zagadnienia Polski, wyróżniają się niewątpliwie prace: Wł. Grabskiego („Idea Polski"), F. Młynarskiego („Człowiek w dziejach") i W. Makowskiego („Państwo społeczne").

Na tym tle nie bylejakim zjawiskiem jest obszerna, bo 370 stron dużego formatu licząca, książka znanego historyka, Olgierda Górki, p. t. *„Naród a państwo, jako zagadnienie Polski"*. Jest to wysokiej klasy literatura publicystyczna, czy też ideowo-polityczna, stanowiąca *„skrót czy wyciąg obszernej i szczegółowo opracowanej pracy naukowej, której wskutek braku środków i czasu do pracy nie zdołał autor wykończyć we właściwej naukowej formie"*.

Książka Górki nastręcza niemałe trudności, począwszy od tego, że jest publikacją trudną do zdefiniowania. Autor obwarował ją zarówno w przedmowie, jak i w tekście, licznymi zastrzeżeniami, mającymi uchronić go od niebezpieczeństwa podsuwania mu *„takich intencji, których sam nie potrafiłby sie domyśleć"*. Gdybyśmy jednak w zwięzłych słowach mieli określić książkę, — zgodnie z intencją autora — musielibyśmy nazwać ją nową teorią prawno - polityczną narodu i państwa, nową koncepcją z zakresu nauki o państwie i narodzie, skonstruowaną *„przede wszystkim pod katem widzenia aktualnych potrzeb psychiki polskiej"*. Musimy jednak zauważyć, że aczkolwiek autor zastrzega się, iż nie jest ani celem, ani zadaniem jego pracy stwarzanie jakichś nowych podstaw ideologicznych, czy też ujmowanie jakiejś ideologii politycznej w pewien system — książka jego ma być poniekąd jakby wykładem ideologii politycznej Marszałka Piłsudskiego. Wniosek ten narzuca się choćby z przedmowy autora, w której czytamy, że *„w postaci, dziejach i pismach Marszałka Józefa Piłsudskiego jest dla autora tych słów zawarta ideologia Polski, nie tylko dla okresu walk niepodległościowych, ale także dla obecnego politycznego bytowania Narodu Polskiego"*

Nie tworząc własnego programu ideologicznego czy politycznego, autor postawił sobie za zadanie *„jedynie i tylko przystępne wytłumaczenie dla każdego Polaka w ogóle mechanizmu tego reflektora politycznego, którym jest postać Józefa Piłsudskiego"*. Oto punkt wyjścia dla autora, który nie chce być *„odkrywcą"* — jak pisze — *„nowych dróg postępowania czy nowych ideologii dla Polski, lecz tylko konstruktorem teorii i interpretatorem tej genialnej trafności postępowania politycznego największego w dziejach Polski człowieka"*. Nikt nie zaprzeczy, że zadanie to jest zarówno śmiałe, jak i ambitne. Ale też obie te cechy leżą w charakterze i temperamencie autora, który zapisał się już w historiografii polskiej jako fanatyczny przeciwnik wszelkich fikcji, obliczonych na pokrzepianie serc.

Zasadniczą treścią książki jest teoria narodu i państwa i wynikające z niej uzasadnienie stosunku tych pojęć na tle przeszłości i chwili bieżącej w Polsce. Praktyczno - ideowa konieczność uzasadnienia stosunku państwa i narodu zarysowała się w świadomości autora wyraziście po zgonie Marszałka Piłsudskiego, gdy ogół polski znalazł się wobec problematu *„jaką politykę w Polsce uprawiać i czym się w działalności politycznej kierować. Znaczna ewolucja, jaka zaznaczyła się w świadomości, a przede wszystkim we frazeologii politycznej przeciętnego ideowego członka Narodu Polskiego i obywatela Państwa Polskiego, przyśpieszyła niewątpliwie ogłoszenie tej książki, złożonej w hołdzie pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego, największego człowieka dziejów Polski"*.

Autor przypomina jednak w przedmowie, że wyłożony w tej książce w zarysie *„system definiowania i rozumowania powstał w zasadzie w roku 1923, a pewne myśli i wyrażenia tego systemu znalazły wyraz już w roku 1926 w artykule pod analogicznym tytułem w tygodniku „Głos Prawdy"*. Mimo to, trzeba stwierdzić, że książka Górki w dzisiejszej postaci jest publikacią nową i oryginalną, chociaż posłużył się w niej autor swym poprzednim dorobkiem publicystycznym i naukowym, czerpiąc głównie z bogatego arsenału, znanych zresztą z innych jego publikacji, argumentów historycznych. Pisana na gorąco, w pośpiechu, nosi na sobie wszystkie cechy dzieła, którego dążnością jest oddziałanie na rozumienie i rozwój problemów chwili bieżącej w Polsce. Tym pośpiechem tłumaczy się niewątpliwie wielka rozlewność słowa, skłonność do dygresyj, ciągłe odchylenia od zasadniczej myśli przewodniej, wreszcie liczne powtórzenia jednych i tych samych wywodów i argumentów, na czym niewątpliwie traci ogólna konstrukcja i przejrzystość książki, zwłaszcza, że i styl Górki bynajmniej nie „grzeszy" jasnością i prostotą. Obiektywizm każe jednak zaznaczyć, że szczegółowy, bo sześć stron bitego druku liczący, przegląd treści w dużym stopniu ułatwia czytelnikowi orientację w tym labiryncie rzeczy wielkich i małych, ważnych i mało istotnych.

Zanim przejdziemy do bliższej analizy teorii i wywodów autora, zasługujących zresztą (zaznaczmy to z góry) na zainteresowanie i dyskusję, zaznajomimy naszego Czytelnika z konstrukcją książki, obejmującej 9 rozdziałów.

W pierwszym rozdziale uzasadnia autor potrzebę swej książki, zwracając uwagę na spory o stosunek państwa do narodu i podkreślając konieczność ustalenia stosunku „naród a państwo". W drugim rozdziale przeprowadza krytykę dotychczasowych koncepcji państwa, a w szczególności teorii państwa w polskim nacjonalizmie. W trzecim prof. Górka rozwija i uzasadnia własną definicję państwa, w którym widzi „nadprzedsiębiorstwo". W czwartym rozpatruje teorię narodu jako właściciela państwa, przeprowadziwszy krytykę stanowiska nacjonalistycznego. Na tym tle, po umiejscowieniu pojęcia „narodu" i pojęcia „państwo", uzasadnił autor swą teorię „interesu narodu" a „interesu państwa", przeprowadzając wyróżnienie sfer i potrzeb oraz wskazując wypadki zgodności tych interesów. Uprzedzając późniejsze wywody, zaznaczmy tutaj, że autor opowiada się za przeciwstawnością interesów narodu i interesów państwa, w odróżnieniu od Bukowieckiego i Rybarskiego. W szóstym rozdziale, stanowiącym trzon książki, rozwija autor teorię nieodwracalności interesów państwa i narodu. W szczególności wykazuje, że realizacja interesów państwa jest korzyścią narodu i obywateli, że realizacja interesów właściciela lub właścicieli może być szkodą państwa. Na tym tle wykazuje na licznych przykładach szkodliwość nadrzędności interesów narodu, jako właściciela państwa, nad interesem państwa. W siódmym rozdziale wykazuje, że nadrzędność interesów państwa jest warunkiem realizacji idealnego celu narodu. W ósmym przypomina, jak była wykonywana zasada nadrzędności interesów państwa w dziejach i polityce Polski. Wreszcie w ostatnim, dziewiątym, rysuje autor linię polityczną Marszałka Piłsudskiego i wyraża wiarę w potrzebę podporządkowania narodowego interesu interesom Polski.

Po tych ogólnych uwagach informacyjnych o książce i jej autorze, przechodzimy do analizy głównych tez z teorii, stawiających zagadnienia „naród a państwo" na nowej płaszczyźnie myślenia.

W ideologii politycznej, którą reprezentuje „Naród i Państwo, zagadnienie, stanowiące przedmiot rozważań prof. Górki, jest zagadnieniem podstawowym i zawsze szczególnie akcentowanym. To też zgadzamy się z autorem, że obecnie, kiedy w nowej atmosferze politycznej dokonywuje się gorączkowa konfrontacja pojęć, „zagadnienie, „państwo a naród" stało się sprawą na wskroś konkretną i praktyczną, obchodzącą każdego poszczególnego człowieka, a przede wszystkim każdego Polaka. Nie można również zaprzeczyć, że dyskusje i spory o stosunek państwa do narodu i narodu do państwa, jakie toczą się w naszej prasie, są najczęściej jałowe, bo nie tylko w publicystyce, ale i w nauce, brak wyraźnej i odpowiedniej dla naszych czasów charakterystyki treści obydwóch tych pojęć.

Polska myśl polityczna niejednokrotnie zajmowała się stosunkiem tych dwu pojęć, ale nie rozróżniała ich między sobą — co trafnie zauważa Górka — z konieczną i przystępną dla każdego przeciętnego człowieka wyrazistością. Tym też tłumaczy Górka dzisiejszy chaos poglądów. Faktem jest, że „krzyżują się słowa, terminy, pojęcia, przy czym naprawdę ten przeciętny człowiek w Polsce nie wie, dlaczego to przedtem, *jeszcze tak niedawno*, ten termin „państwo" był zawsze na pierwszym miejscu każdego wypowiedzenia się, a teraz dla odmiany właśnie ten termin „na-

ród". Nie wie on też dalej, któremu z tych pojęć właśnie to pierwsze miejsce przysługuje, względnie dlaczego powinno tak bezwzględnie przysługiwać.

Upatrując w tych sporach o stosunek państwa do narodu główny problemat bieżącej chwili w Polsce i wychowania ideologicznego obywateli — prof. Górka stawia sobie za cel stworzenie „teorii wzajemnego stosunku narodu i państwa i to takiej teorii, która uzasadni sama siebie logiką rozumowania i empiryzmem całych dziejów ludzkości, a zwłaszcza polskich, ale równocześnie jest zdolna dotrzeć do narodowego sentymentu Polaków."

Teorię taką sformułował zwięźle St. Bukowiecki w swej „Polityce Polski Niepodległej" (str. 14), jednakże nie określił dość precyzyjnie pojęć „naród" i „państwo" tak, że zasadnicza jego teza („racja stanu" = interes państwa) nie jest dostatecznie uzasadniona, aczkolwiek nie straciła na swej wartości i słuszności. Prof. Górka odrzuca sam termin „racja stanu," zarzucając mu brak bezspornej treści. W istocie jest to tylko symbol umowny, pod który każdy polityk podkłada treść odmienną, zgodną z linią swej ideologii politycznej.

Punktem wyjścia pracy myślowej autora, zmierzającego do sformułowania jasnej teorii wzajemnego stosunku pojęć „narodu" i „państwa," jest *krytyka dotychczasowych koncepcji państwa*. Trzeba przyznać, że jest to start śmiały i zapowiadający owocne konsekwencje. St. Bukowiecki (którego dzieło uważa Górka za „najwybitniejszą książkę o tych zagadnieniach polskiej ideologii państwowej") przyjął po prostu ustalone w dawnej literaturze pojęcia o państwie i uchylił się od rozpatrzenia pytania, „czy słusznym i zasadnym jest, aby dobro państwa miało prym nad wszelkimi innymi". Inaczej postępuje O. Górka, dzięki czemu praca jego wprowadza rewizjonistyczny prąd w świat zastarzałych i zatęchłych pojęć.

Na wymownych i przekonywujących przykładach wykazuje autor, że „żadna z definicji państwa, nawet ta najskromniejsza i najprostsza, a powszechnie przyjęta (obywatele, terytorium, suwerenna władza) nie stanowi wydobycia z istoty państwa (styl prof. Górki) takiej cechy *jednolitej i niewątpliwej*, która da się wykazać we wszystkich wypadkach dziejowych i we wszystkich formach i sytuacjach możliwych". Oczywiście taka krytyka obowiązuje. Dlatego też prof. Górka podkreśla, że konstruuje teorię opartą wyłącznie o dążenie do wydobycia z dziejów wszystkich państw *cechy najistotniejszej dla państwa* jako takiego, bez poddawania się jakimkolwiek tendencjom politycznym.

Jako zasadniczą tezę w swej książce stawia autor następującą definicję państwa: *„państwo jest koniecznym i przymusowym nadprzedsiębiorstwem wszech czasów i wszech stron, wykazującym różnych i zmiennych właścicieli. Powstaje ono i istnieje celem spełnienia wobec przynależnych jednostek — potrzeb ich egzystencji oraz zmiennych celów jego właścicieli. Źródłem władzy jest własność na danym państwie, względnie zdobyte posiadanie"*

Zastanówmy się krytycznie nad tą definicją, abstrahując od jej formy redakcyjnej, gdyż autor zastrzega sobie prawo zmian redakcyjnych. W definicji tej na czoło wysuwa się termin „nadprzedsiębiorstwo", zastosowany po raz pierwszy w nauce o państwie zamiast powszechnie używanego terminu „organizacja". Prof. Znamierowski stawia państwo na czele grup terytorialnych, jednakże najważniejszą cechę tej grupy widzi w celu, którym jest *porządek* i *bezpieczeństwo* — dwa tak charakterystyczne pojęcia demoliberalizmu. Definicji prof. Znamierowskiego nie można uznać za wystarczającą, gdyż „państwo" w istocie swej nie tylko ilościowo, ale i jakościowo różni się od takiej grupy terytorialnej jak wieś czy miasto. Państwo to coś więcej, a nawet coś innego niż suma wsi i miast.

d. n.

Litewskie przemiany

U schyłku roku zeszłego miała Litwa sensację polityczną, chyba w ciągu ostatnich kilku miesięcy największą. 17 grudnia przypadała rocznica dziesięcioletnich rządów obecnego reżimu. 17 grudnia 1926 r. dokonany został w Kownie wojskowy zamach stanu, który umożliwił obecnemu Prezydentowi Smetonie wzięcie w ręce władzy i otworzył drogę do utrwalenia wpływu kierowanemu przez Smetonę stronnictwu „narodowców" (tautininków).

Otóż przed tą dziesięcioletnią rocznicą przypuszczano w Litwie powszechnie, że będzie obchodzona z wyjątkową pompą. Ku powszechnemu zdziwieniu, które ogarnęło nawet samych „narodowców", okazało się, że żadnych uroczystości nie było i że nawet nie uznano za stosowne ozdobić w dniu tym Kowna flagami państwowymi. Ograniczono się tylko do rozesłania prasie litewskiej, z obowiązkiem wydrukowania „rządowego" artykułu, zatytułowanego słowami Smetony: „Musimy tworzyć z własnego materiału", zaopatrzonego wyjaśniającym podtytułem :„Z okazji dziesięciolecia rządu narodowego". Artykuł nosił charakter wybitnie okolicznościowy i, jak można się było domyślać, podkreślał, oczywiście, same „pozytywne" osiągnięcia reżimu i jego owocnej twórczości „pod kierownictwem Wodza Narodu". Później ukazywały się inne artykuły, również urzędowe, między innymi artykuł p. t. „W ciągu ostatniego dziesięciolecia stworzono silne podstawy hodowli drobiu", których atoli do serii głosów o charakterze polityczno - uroczystościowym nie można było zaliczyć.

Faktycznie więc rocznica 17-go grudnia została w Litwie przemilczana. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że fakt ten ma świadczyć o słabości reżimu. Po rozwiązaniu partii opozycyjnych i wydaniu szeregu ustaw o charakterze policyjno-totalnym reżim „tautininków" właśnie w roku 1936 stanął u szczytu swej siły. A mimo to rządząca Litwą „góra", złożona z kilku osób, zdecydowała się na pominięcie milczeniem tak pamiętnej dla obecnego reżimu daty.

Wiele przyczyn natury ubocznej — choć bardzo ważnych — złożyło się na tę decyzję. Lecz nad wszystkimi przeważyła jednak w gruncie rzeczy niechęć do analizowania wspomnień przeszłości w obliczu przeobrażeń wewnętrznych, dokonywujących się w społeczeństwie litewskim, zwłaszcza w kołach opozycyjnych. Nie należy bowiem zapominać, iż mimo formalnego zamknięcia przed rokiem partii chrześcijańsko - demokratycznej i radykalnych ludowców, faktycznie nie przestały one istnieć. Ludowcy organizacyjnie są bez porównania słabsi od katolików, lecz posiadają swój własny organ codzienny („Lietuvos Zinios"), wielu sympatyków na odpowiedzialnych stanowiskach oraz na wsi, bynajmniej nie obojętnej na hasła społeczno-radykalne. Mówi się w Litwie również dużo o wpływach tej grupy w armii. Katolicy, dzięki zachowaniu związków religijnych i naturalnemu oparciu w klerze, nie zostali rozbici organizacyjnie. Ostatni zjazd litewskiej „Akcji Katolickiej" wykazał natomiast, że w łonie obozu katolickiego nurtują dwa prądy. Na zjeździe zwyciężył prąd młodych, „dynamicznych katolików", stanowiących elitę umysłową inteligencji litewskiej. Zgoła rewolucyjna mowa jednego z przedstawicieli tej grupy — niejakiego Macejny — wywołała w całej Litwie olbrzymie wrażenie. W swoim przemówieniu położył on główny nacisk na zagadnienia socjalne w katolicyzmie litewskim. Zarzucał proboszczom, że zbyt dbają o sprawy materialne, domagał się rozdzielenia ziem kościelnych wśród bezrolnych, wymiany złota i srebra kościelnego na chleb. Bóg — dowodził wśród oklasków z demagogicznym patosem — nie potrzebuje złota i jedwabi, jeśli masy są głodne. Zwycięstwo grupy dynamicznych, świeckich katolików, w której rękach znajduje się notabene dziś jedyny organ codzienny litewskiego obozu katolickiego — „XX amžius" — oraz wpływowe czasopismo „Naujoji Romuva" jest tym ważniejsze, że byliby skłonni porozumieć się z „narodowcami". Są to doskonali taktycy, którzy daleko patrzą w przyszłość.

A „narodowcy"? Rzecz znamienna, że mimo osiągnięcia, zdawałoby się, szczytowej pozycji w roku ubiegłym, nie byliby również temu przeciwni. W dodatku idei tego zbliżenia patronuje armia litewska, która zaczyna, narazie jeszcze bardzo nieśmiało, zdradzać ambicje do odegrania roli politycznej w państwie.

Nic więc dziwnego, że pod wpływem zarysowujących się przemian, litewskie sfery kierownicze zdecydowały się na przemilczenie dziesięcioletniej rocznicy, z którą uczuciowo związany jest tak silnie sam prezydent Antoni Smetona oraz wielu jego najbliższych i wypróbowanych współpracowników. Decyzja ta nie przesądza jednak bynajmniej faktu, że Smetona będzie zdolny do wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z realnego układu stosunków politycznych w rządzonym przez siebie kraju. Wśród opozycjonistów, zwłaszcza wśród chrześcijańskich demokratów, jest wielu ludzi, których organicznie nie znosi i którym nie dowierza.

Latem roku zeszłego doszło do krwawych starć na ulicach Kowna. Klika, otaczająca Smetonę, traciła głowę. Ale sytuacja została opanowana i ulica kowieńska przybrała swój zwykły, spokojny, nieruchliwy wygląd. Ulegając presji opinii, zwołano — mniejsza o to jaki — Sejm. Rząd wzmocnił swe stanowisko. Smetona ma szansę, aby doprowadzić do szerokiej konsolidacji społeczeństwa litewskiego. Czy tego dokona? Na podstawie skąpych wieści, nadchodzących z Kowna, trudno byłoby dziś odpowiedzieć na to pytanie.

Wilno w kwietniu. Z. S.

Juliusz Żuławski

Listy z Londynu

Londyn w oczach cudzoziemca. — Miasto niespodzianek. — Przed koronacją i przed konferencją imperialną

Londyn, w maju 1937

Przyjemnie być obcym w jakimś mieście. Obcość pozwala na wszystko. I na emocje obiektywności, i na emocje poszukiwań, i na emocje bezinteresownych sentymentów. Obcość pozwala na przedziwnie jaskrawe zobaczenie tych wszystkich rzeczy, którym dopiero smutne przyzwyczajenie nadaje cechy pospolitości.

Poszukiwania w obcym mieście prowadzą poszukiwacza — z miejsca w miejsce i ze zdarzenia w zdarzenie — ich własnymi drogami. Metody nie zdają się na nic. Jak gdyby poszukiwania posiadały same w sobie jakiś swój własny, prawie abstrakcyjny mechanizm. To też na ogół strzeżemy się wyborów tendencyjnych, nie lubimy używać Baedeckerów i wolimy powierzać się raczej przypadkowi. Wiadomo, że często najistotniejszych objawień na temat danego miasta doznaje się właśnie na najzwyklejszych ulicach, a długo, aż do kompletnego znudzenia, można stać na sławnym w całym świecie placu — i nic nie zobaczyć.

Dobrze jest wiedzieć, czego się szuka, gdy się szuka rzeczy zgubionej. Ale w obcym mieście szukamy niespodzianek. A gdy tym miastem jest Londyn — byłoby już zupełnie zasadniczą pomyłką zaopatrywać się w jakiekolwiek tendencje. Gdy chodzi o miasto o tak precyzyjnej organizacji — złożonej jakimś dziwnym cudem z elementów tak nieprecyzyjnych. Właśnie z niespodzianek i z najdziwniejszych sprzeczności.

Londyn jest miastem, w którym epoki nie umierają. W miarę upływających dziesiątków lat — jest tych starych epok po prostu tylko coraz więcej i wszystkie żyją razem z nowoczesnością, niewycofywane z codziennej służby, wzruszająco doceniane w swym uroku. To też zabytków, przeznaczonych jedynie do zwiedzania, posiada Londyn mało. I równocześnie żywe zabytki z różnych epok, wśród których pięknie dominują czasy wiktoriańskie, spotyka cudzoziemiec wszędzie. I na ulicy i w domach, i w całej organizacji społecznej, i głęboko u samych podstaw mentalności angielskiej. Wplecione barwnie w tryby codzienności razem z najbardziej nowoczesną mechanizacją — stwarzają z nią w sumie dziwny, ale właśnie najprawdziwszy obraz oblicza Londynu i Anglii.

Całe miasto oddycha tym nonszalanckim pomieszaniem epok, pomieszaniem w traktowaniu ich przez samych Anglików. Gdziekolwiek pójść — gdy się wyjdzie z szarego i brzydkiego domu rankiem — tym typowo londyńskim rankiem z angielskiej powieści — odrazu czuje się wyraźnie, że się nie jest na tak zwanym „kontynencie". Tu, w tym wyspiarskim mieście, które tak wytrwale przez cały wiek dziewiętnasty izolowało się od spraw Europy, wszystko jest jeszcze ciągle inne. Powojenne współżycie Anglii z Europą jeszcze nie zdążyło przerobić tego kraju. Jest właściwie egzotyczny dla cudzoziemca więcej i inaczej, niżby się tego kiedykolwiek spodziewał. Ze swym monarchą; ze swą feudalnością raczej niż demokratyzmem; ze swą uroczystą ceremonialnością i ze swym olbrzymim poczuciem humoru równocześnie; ze swą niebywałą, czasem aż groteskową, dyscypliną raczej, niż pozorną wolnością osobistą; ze swą, szczególnego typu, swobodą obyczajów — i ze swym purytanizmem.

Przede wszystkim optycznie — na każdym niemal kroku — uderza cudzoziemca ta niesłychana specyficzność form, jaką wytworzyła naokoło siebie angielska mentalność.

Pójdźmy do mglistego londyńskiego City, a zobaczymy wśród szarości ulic, wśród wrzawy zmechanizowanego ruchu ulicznego — innym nagle rytmem kołysanych dostojników z palestry w białych perukach z harcapami, maklerów giełdowych w cylindrach i długich surdutach z dziewiętnastego stulecia, strażników Toweru w średniowiecznych strojach, a nierzadko, wśród powodzi samochodów i dwupiętrowych autobusów — dickensowską, romantyczną karocę.

A jeżeli juz jesteśmy w City — zaglądnijmy do Sądu i zobaczmy, jak wygląda rozprawa. W Anglii istnieje, w większości dziedzin i kwestii, prawie wyłączne prawo zwyczajowe. W każdym wypadku przestępstwa—pochylone białe peruki wertują całe stosy kronik, w poszukiwaniu analogicznego wypadku w przeszłości...

Gdzieindziej, w gotyckim Westminsterze, na dnie niby katedralnego gotyku sali, obraduje parlament. Nowocześni mężowie stanu roztrząsają najaktualniejsze, najważniejsze sprawy polityki światowej. Prezyduje tym roztrząsaniom człowiek w średniowiecznych szatach i w ufryzowanej peruce, spływającej mu aż na piersi. U stóp jego tronu, na wielkim stole pokrytym stosami ksiąg, leży złote berło — znak marszałkowskiej władzy. Berło to jest świętością, którą — jak historia głosi — jeden tylko Cromwell i jeden kiedyś potem poseł z Labour Party ośmielili się znieważyć przez dotknięcie ręką. Jest ono taką samą świętością i dzisiaj. A równocześnie — tak członkowie rządu jak i leaderzy opozycji — jedni i drudzy siedzący w pierwszych ławach, naprzeciw siebie, po obu stronach tego stołu — swobodnie wyciągają nań nogi, wspierając je niemal o owe dostojne berło...

W Londynie, jak w garnku pełnym najsprzeczniej wymieszanych potraw, można znaleźć wszystko. Ze swym zestawianiem na każdym miejscu rzeczy najdonioślejszych i najbłahszych, ze swą wielką kulturą i wielką prymitywnością, postępem i zacofaniem — to nie jest miasto, nad którym dałoby się łatwo przejść do porządku dziennego.

Trudno powstrzymać się, aby nie mówić o nim. Chociażby o niczym innym, jak tylko o jego wąskich, krętych, ciągle tak samo dickensowskich uliczkach, zapełniających gęsto obszary wszędzie, pomiędzy najwspanialszymi i największymi arteriami. Albo o jego niezliczonych, bardzo swoistych barach (public houses), w których Anglicy nota bene potrafią raczyć się po parę razy w ciągu dnia, a z których każdy podzielony jest na trzy części i posiada trzy oddzielne wejścia. Osobne dla ludzi „dystyngowanych", osobne dla pospolitego tłumu, i osobne dla nędzarzy.

Od czasów Wielkiej Wojny weszła Anglia z całą intensywnością w kolisko polityki europejskiej. Mimo takich czy innych powodzeń lub niepowodzeń dyplomatycznych — nie można odmówić jej wielkiego prymatu wśród narodów najpotężniejszych, a Londyn jest dziś bez wątpienia węzłem najdonioślejszych spraw świata.

Ale gdy chodzi po tym kraju, po jego prawie 10-cio milionowej stolicy, pielgrzym cudzoziemiec, i szuka źródeł potęgi — rozgląda się ze zdumieniem — jak gdyby spacerował po kraju dalekiej od życia, bezbronnej sielanki. Widzi mistyczny idealizm, groteski tradycjonalizmu, często nieoczekiwane poczucie niższości wobec ludzi „kontynentalnych", widzi naiwnych mówców w Hyde Parku i parady barwnych, teatralnych gwardzistów.

Żadna chyba z obecnych monarchii w Europie nie jest tak przesiąknięta swoim monarchizmem, jak Anglia. I żaden już dziś chyba naród nie potrafiłby z równą lubością i znawstwem bawić się przygotowaniami koronacyjnymi przez tak długi szereg miesięcy. Ale tak w Anglii było zawsze i tak będzie chyba do skończenia świata.

Ceremoniał koronacyjny królów angielskich nie wiele zmienił się od tysiąca lat. Jerzy VI-ty będzie koronowany tak samo, jak koronowano Normanów, Plantagenetów i Tudorów. Nie wiele pod tym względem zmieniły wieki w tradycjonalnej Anglii, w której łatwiej zmienia się treść, niżeli forma. Tak więc przeprowadzona została doniosła pod względem politycznym zmiana tekstu przysięgi królewskiej, która w wyraźny sposób podkreśla nową, samodzielną rolę Dominiów w ramach Imperium, czyniąc z monarchy angielskiego już nie króla Wielkiej Brytanii z należącymi do niej Dominiami, ale króla Wielkiej Brytanii i króla każdego z poszczególnych Dominiów. Jednak ta zmiana całości koronacyjnego rytuału nie naruszy, nie zmniejszy barwności i wspaniałości obrzędu. Korona Św. Edwarda, w której koronowano monarchów od czasów Karola II-go, pojawi się i podczas obecnej uroczystości. Tak samo korona królowej Mary ze słynnym Koh-i-noor'em. Deliberuje się natomiast, który z płaszczów królewskich okryje ostatecznie ramiona nowego króla. Czy płaszcz Edwarda VII-go — trochę zbytnio, nawet dla oczu Anglików, teatralny w swej błyskotliwości, czy też płaszcz Jerzego IV, również wspaniały i kapiący od złota, ale przy tym bardziej stylowy? Czy zdecydować się na płaszcz zbyt obszerny pierwszego, jako że był to monarcha niemałej tuszy, czy na płaszcz zbyt długi drugiego, który był na odmianę monarchą przerastającym o głowę najwyższych swych dworzan?

Dla królowej natomiast — Królewska Szkoła Haftów sporządza, pracując już od szeregu miesięcy, nowy płaszcz. Bogato wyszywany złotem — odznaczać się będzie centralnie wyhaftowanym kwiatem, z którego wybiegnie, jak bukiet — pęk emblematów całego Imperium. Południowa Afryka będzie tam reprezentowana lilią, Nowa Zelandia paprocią, Indie lotosem, jedność całego Imperium Brytyjskiego — owocem dębu. Tren królowej, 6 metrów długi i półtora metra szeroki, z purpurowego aksamitu—ozdobiono złotem i obramowano gronostajem. Baldachim — niesiony nad głową króla przez czterech Rycerzy Orderu Podwiązki, a nad głową królowej przez cztery „Duchesses" — jest równie gęsto przetykany złotem i wyhaftowany nadto w osiemnaście srebrnych orłów, które to emblematy sięgają w swej symbolice jeszcze czasów Saxońskich. Wszystko to są sprawy, które potrafią stanowić przedmiot szczególnego zainteresowania całego społeczeństwa anglo-saskiego.

Toteż Urząd Pocztowy przygotował specjalne kable i gęsto rozmieszczone mikrofony, aby ułatwić słuchania przebiegu obrzędów całemu światu. Jak obliczają — 750 milionów ludzi przysłuchiwać się powinno uroczystościom koronacyjnym króla angielskiego.

Cały Londyn przepełnia atmosfera coraz niecierpliwszego oczekiwania. Hotele i sklepy oczekują na wielkie interesy i obroty, tłum londyński — na widowisko, jakiego nie widziano już ćwierć wieku, Anglia — czeka na koronację, jako na ważny akt polityczny, który, manifestując istnienie osoby króla, manifestuje istnienie właściwie już jedynego węzła, jaki wiąże z nią rozrzucone po całej kuli ziemskiej Imperium.

I właśnie w cieniu tego wspaniałego orszaku koronacyjnego, który 12-go maja przetoczy się ulicami Londynu, w cieniu złotych karoc, barwnych

heraldów i knechtów, strojnych książąt i baronów, w cieniu pary królewskiej w purpurze — odbędzie się, w dwa dni potem, może jeszcze niecierpliwiej oczekiwana — Konferencja Imperialna.

Dominia stały się powoli prawie już zupełnie samodzielnymi państwami. Cała organizacja, całe oblicze dzisiejszego Imperium Brytyjskiego wymaga nowego, wyraźnego ujęcia. Takie olbrzymie zagadnienia, jak uregulowanie już raz nareszcie wewnętrznego handlu imperialnego, jak sprawa emigracji, dalej chociażby sprawa kolonialnych żądań państw „bezsurowcowych" — wszystko to, obok wielu jeszcze innych kwestii, jakie wyłaniają się w ostatnich czasach wprost z miesiąca na miesiąc coraz intensywniej, wszystko to wymaga wyjaśnienia, zdecydowania, ujęcia w nowe formy.

A przede wszystkim — problem o kolosalnym dzisiaj znaczeniu dla całego świata — mianowicie kwestia ostatecznego ustosunkowania się Dominiów do nowego angielskiego planu zbrojeń, kwestia większego lub mniejszego udziału Dominiów w tym planie, kwestia więcej lub mniej daleko posuniętej solidarności w polityce zagranicznej, kwestia mniej lub więcej ściślej koordynacji obrony.

ŻYCIE PROWINCJI

Zagadnienie niemieckie

Niemcy w Polsce „podciągają się", ale oczywiście w kierunku realizacji programów wytyczonych przez partię rządzącą za naszą zachodnią granicą.

W ruchu politycznym niemieckim w Polsce rozróżnić należy trzy kolumny, używając wyrażeń bardzień fachowych, czerpanych z terminologii używanej w wojsku.

Mylne byłoby w charakteryzowaniu ruchu niemieckiego trzymanie się podziału według granic dawnych zaborów — podział ten sami Niemcy porzucili, jako nieistotny i zapewne w obecnych warunkach politycznych niecelowy.

Błędne byłoby również wprowadzanie daleko idącego określonego podziału ideowego między różnymi organizacjami niemieckimi.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie ma wśród mniejszości niemieckiej innych kierunków prócz narodowego socjalizmu. Niewątpliwie są. Są one jednak tak słabe (np. reprezentowany przez b. sen. Panta na Śląsku), że przy ocenie z punktu widzenia dnia dzisiejszego można je zostawić na uboczu, co nie zmienia sprawy ich wartości i możliwości rozwojowych w przyszłości. W tej chwili jednak znaczna większość społeczeństwa niemieckiego w Polsce orientuje się w jednym kierunku, oficjalnie nazywanym narodowym socjalizmem.

Ale w tym właśnie kierunku maszerują aż trzy kolumny.

Nie będziemy dociekać, dlaczego tak się dzieje. Wystarczy na razie stwierdzić sam fakt.

Liczebnie najmniejszą kolumną, ale taktycznie bardzo ważną, którą śmiało można nazwać kierunkową (w ideowym i wojskowo-taktycznym znaczeniu tego słowa) jest NSDAP.

Nie mylimy się: NSDAP co się czyta National-Sozialistische Deutsche Arbeits Partei, a więc partia rządząca w Rzeszy Niemieckiej, a w Polsce skupiająca tu pozostałych optantów niemieckich.

Ograniczona do obywateli niemieckich, nie jest ona liczna, przeciwnie, jak powiedzieliśmy, liczebnie jest najsłabsza, jednak silnie zespolona organizacyjnie, jest ona już dziś poważnym czynnikiem, wywierającym wpływ na życie społeczeństwa niemieckiego.

Przy ocenie tego zjawiska trzeba pamiętać, że według pojęć narodowo-socjalistycznych partia utożsamia się z państwem. Stąd płynie prosty wniosek, że obywatele niemieccy, wszędzie gdzie się znajdują, tworzą partię.

Dzielnice zachodnie naszego państwa posiadają kilkanaście tysięcy obywateli niemieckich, nie usuniętych w swoim czasie z granic państwa. Podporządkowanie ich dyscyplinie partyjnej, uświadomienie i wyszkolenie według zasad nowego niemieckiego światopoglądu, zespolenie w jedną całość z organizacją partyjną, działającą w Rzeszy, jest troską organizacji NSDAP, działającej w Polsce, jako jeden z zagranicznych okręgów partii.

Ponieważ partia ze swymi licznymi przybudówkami jest zorganizowana na sposób wojskowy, w oparciu o zasadę nominacji, rozkazodawstwa i na różnych swych szczeblach prowadzi pracę przygotowawczą dla armii niemieckiej, z faktu istnienia NSDAP wśród optantów pozostałych w Polsce należy wyciągnąć wniosek, że spełnia ona rolę również jako organizacja o charakterze przysposobienia dla Reichswehry w Polsce.

Nie twierdzę, żeby dziś praca ta była ukończona, żeby już wszyscy optanci byli w szeregach NSDAP.

Ale nie zmienia to w niczym kierunku marszu tej czołowej kolumny ruchu niemieckiego, która dąży do zagarnięcia wszystkich obywateli niemieckich, przy czym do ogarnięcia tych obywateli formami ruchu o charakterze nie tylko partyjno-politycznym, ale i militarnym.

Jedną z przybudówek NSDAP jest organizacja młodzieżowa Hitlerjugend. Organizacja ta wychowuje młodzież w duchu zasad partyjnych oraz przygotowuje do służby w armii. Działająca w Polsce Hitlerjugend kładzie pierwsze podwaliny pod niemiecką organizację wojskową.

Arbeitsfront w Niemczech nie tylko przygotowuje młodzież do zawodu i wdraża do pracy fizycznej, ale jest formacją zmilitaryzowaną. Taki sam Arbeitsfront w Polsce przygotowuje fachowców i żołnierzy dla armii niemieckiej.

Publicyści niemieccy już wielokrotnie zwracali uwagę, że korzenie niemczyzny w Polsce, dzięki pozostawieniu osadników, tkwią na roli, gdzie większość Niemców zatrudnionych jest na własnych zasobnych gospodarstwach. Otóż zorganizowani w szeregach NSDAP optanci niemieccy, rolnicy, tworzą sieć placówek. Szczególną rolę wśród nich odgrywają wielkopańskie dwory niemieckie. Niemieccy ziemianie sprowadzają z zagranicy rządców i oficjalistów obywateli obcych. W ten sposób NSDAP, partia rządząca w Rzeszy, w Polsce znajduje oparcie w dworach Niemców obywateli polskich. Stąd promieniuje dalej na kolonistów na wsi i na mieszczan w miastach. Niepoślednią rolę odgrywają tu również pastorowie ewang.-unijni, wśród których występuje znaczny odsetek obywateli niemieckich i gdańskich.

Tak w pobieżnym zarysie wygląda najmniejsza liczebnie, ale o poważnym znaczeniu moralnym czołowa kolumna niemiecka w Polsce.

Jej znaczenie strategiczne ocenić można właściwie, jeśli się zważy, że optanci w większej liczbie występują w nadgranicznych powiatach Polski.

Drugą kolumną ruchu niemieckiego jest t. zw. „obóz starych". Wyrosły w tradycji Deutschtumsbundu i późniejszego biura posłów i senatorów, oparty o organizacje zawodowe i gospodarcze w kraju oraz o zagraniczne elementy, skupiające się koło t. zw. kongresów mniejszości narodowych, w chwili obecnej obóz ten zawisł do pewnego stopnia w próżni.

Składa się na to przeżywanie się w Niemczech, skąd kiedyś wyszła inicjatywa, samej idei Kongresów Mniejszości Narodowych, co zresztą jest logicznym następstwem założeń programowych narodowego socjalizmu, który w zasadzie usuwa się od zbiorowej akcji międzynarodowej, jakkolwiek dotychczas Rzesza Niemiecka, która tak odżegnywuje się od Ligi Narodów, nie wypowiedziała swego zdania o kongresach mniejszości narodowych, które niejako wisiały, nieaprobowane zresztą, przy tej instytucji genewskiej.

Również fakt, że wodzowie tej kolumny marszowej przyznali się do narodowego socjalizmu dopiero po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech, nadaje im piętno neolityzmu, co jest ich słabą stroną.

Podstawą natomiast mocy tego obozu jest jego oparcie o dość obfite źródła i zbiorniki środków materialnych.

Stąd też, choć w dzisiejszym stanie rzeczy obóz starych zdaje się nie posiadać widoków dalszego rozwoju w społeczeństwie niemieckim, jednak całkowita jego likwidacja na rzecz trzeciej bojowej kolumny, Jungdeutsche Partei, natrafiać będzie na trudności przede wszystkim natury personalnej.

Wreszcie „Jungdeutsche Partei". Ta ostatnia zespala elementy młode, o dużej energii i zawziętości. Są to cechy, które mają wyrównać trudności, wynikające z braku silniejszego oparcia w organizacjach gospodarczych, z tym, że wcześniej czy później i te ostatnie opanowane zostaną przez JDP.

Mówiąc o tej kolumnie, zwrócić należy uwagę na fakt, że młodoniemcy sami się uważają i głoszą za najbardziej powołanych apostołów czystego narodowego socjalizmu niemieckiego wśród mniejszości niemieckiej w Polsce oraz że Radio Niemieckie, omawiając sprawy Nimców zagranicznych, niejednokrotnie potwierdziło to stanowisko, nazywając JDP w Polsce istotnym rzecznikiem narodowo-socjalistycznej idei.

Z polskiego punktu widzenia interesującym zagadnieniem odnośnie marszu tych trzech kolumn niemieckich jest sprawa ich wzajemnego współdziałania.

Jeżeli się weźmie pod uwagę, że tak starzy, którzy jako wierzchołkową nadbudówkę uznali Radę Niemców w Polsce, kierowaną przez p. senatora Hasbacha, jak młodzi, prowadzeni przez krajowego wodza, p. senatora Wiesnera, są od siebie wzajemnie całkowicie niezależni i pozostają ze sobą w ostrej walce, to pozornie wydawać się powinno, że wszelkie mówienie o współdziałaniu jest tutaj pewnego rodzaju nieścisłością.

Lecz proszę sięgnąć do niedawnej sesji budżetowej Senatu.

Wszystkie wystąpienia senatorów niemieckich były opracowane tak, że jedno nie tylko nie przeczyło drugiemu, lecz że wzmacniało wszelkie zmiany taktyczne, stosowane jednocześnie.

Działalność grup politycznych w terenie wykazuje również te same cechy. Przy ostrych walkach na codzień w momentach ważniejszych następuje zasadnicza zgodność. Marsz wszystkich trzech kolumn niemieckich w Polsce prowadzony jest po drogach różnych, lecz równoległych. W walkach wewnętrznych jest bez wątpienia dużo szczerej niechęci i bezwzględności, lecz nie ma chaosu.

Dlaczego tak się dzieje? — Czy jest to sprawa tylko instynktu, czy również i jednolitego kierownictwa, jednolitej komendy? A jeśli tak, to gdzie jest czynnik decydujący tej komendy? Odpowiedź na powyższe pytanie nie jest łatwa. Jednak ostatnia nominacja von Bohlego na stanowisko podsekretarza stanu w Auswertigesamt, z tytułem szefa organizacji Niemców zagranicznych, daje tu wiele do myślenia.

L. K.

Witold Kosiński

Sprawa Brzozowskiego

IV. Możliwość pomyłki — Bakaj i Burcew

Już podczas sądu partyjnego wysuwane są przypuszczenia co do możliwości pomyłki Bakaja. W tym sensie, po śmierci Brzozowskiego, redagują jego obrońcy: Rafał Buber i Jędrzej Moraczewski list rozesłany do prasy[50].

Najwięcej podejrzeń budzi niejaki Jan Rabinowicz, Żyd. Z postawy, wzrostu, twarzy podobny do Brzozowskiego, mieszkał jak i tamten na Nalolińskiej, z tą różnicą, że pod nr. 4-ym (B-ski pod 10). W sferach rewolucyjnych znany pod nazwiskiem Goldberga. W tym samym czasie co Brzozowski wyjeżdża do Zakopanego. Po ujawnieniu „czarnej listy" kręci się w świecie artystycznym Krakowa. Aresztowany, bodaj że w 1910, przez władze austriackie jako podejrzany o szpiegostwo wojskowe, znika następnie bez śladu[51].

W r. 1909 w Warszawie zameldowanych jest aż 33 St. Brzozowskich i 6 St. Belina - Brzozowskich, z pośród nich żaden nie jest literatem[52]. Natomiast niejaki Izaak Puszas, zesłaniec polityczny do gubernii Archangielskiej, w liście z sierpnia 1908[53] zwraca uwagę na fotografa Brzozowskiego. A w spisie agentów, pomieszczonym w książce „Azef i zagraniczna ochrana"[54] figuruje prowokator szewc o tym samym imieniu i nazwisku.

Zatem prawdopodobieństwo omyłki duże. Ale nie, Bakaj uporczywie obstaje przy swych zeznaniach. Utwierdza go w tym uporze Burcew.

Kim właściwie są ci obaj ludzie?

Bakaj, wedle wersji stworzonej przez samego siebie — jako 18-letni chłopak sympatyzuje z ruchem wolnościowym. Przytrzymany przez policję za przechowywanie „bibuły" załamuje się moralnie w więzieniu i zgadza się być szpiclem. Przed nim ostrzega w 1903 wszystkich członków partii SRów komitet jekaterynosławski w „Rewolucyjnej Rosji"[55]. Przeniesiony do Warszawy, obserwując ogrom łajdactw popełnianych przez tutejszych ochranników — w 1906 r. rzekomo „dobrowolnie" podaje się do dymisji[56]. W maju 1906 widzi się Bakaj z Burcewem. Przeto „przełom" nastąpił widocznie w marcu lub kwietniu, jeżeli nie wcześniej. Zagadnienie daty jest szczególnie ważne. Bo oto w listopadzie tegoż roku, czyli co najmniej w sześć miesięcy potem, przed sądem wojennym warszawskim rozpatrującym sprawę Ferenchowicza i towarzyszy — Bakaj, „zwolennik rewolucji", powiada: „oskarżeni sprawiają na mnie wrażenie skończonych zbirów, gotowych pić krew rodzonych ojców". Ich skruchę i zeznania przypisuje własnemu „moralnemu wpływowi"[57]. Na czym ów „wpływ" polegał? W ochranie stosowano tortury. Z pomiędzy urzędników ochrany gorliwością w pełnieniu obowiązków wyróżniał się... Michał Bakaj[58]. M. in. referując sprawę anarchistów - komunistów przyczynia się do rozstrzelania 17-tu ludzi. W 1909 usiłuje temu przeczyć w „Matinie"[59]. Niewyraźną pozycję przyjmuje w okresie szukania porozumienia z rewolucjonistami. Co uczynić zamierza naprawdę, co myśli w głębi ducha, nie wiemy, możemy snuć jedynie domysły, opierając się na posiadanym materiale dokumentarnym. Przecież w 1909, ogłaszając „sensacyjne" artykuły o ochranie w prasie francuskiej — równocześnie zgłasza do premiera Stołypina gotowość ponownego wstąpienia na „porzuconą" służbę, zdradzenia obozu rewolucji[60].

Przypatrzmy się dalej jego postępowaniu w omawianej przez nas sprawie: po pierwsze — udając się do Paryża na proces prosi J. Stachurskiego o fotografię Brzozowskiego. Natarczywie czy nie, mniejsza z tym. Po drugie: na jasno sformułowane pytanie w kwestii osobistego wręczenia 75 rubli — miesza się, waha, wreszcie odpowiada Brzozowskiemu wykrętnie: „A wsjo taki wy służili w Ochranie"[61]. Po trzecie: z pięciu jego notatników tylko w jednym sędziowie odnajdują nazwisko: „Brzozowski", bez imienia, bez zapisek, absolutnie osamotnione; mógł je zatem dopisać z równym powodzeniem ex post specjalnie dla użytku trybunału[62].

Lecz za prawdomówność Bakaja ręczy Burcew, wierzący w prawdziwość jego skruchy i jej motywy ideowe[63]. Opinii tej nie cofa do dziś dnia[64]. Poza nim niektórzy świadkowie potwierdzają zgodność informacji bakajowskich, co bynajmniej nie przeszkadza im w obdarzaniu go epitetami w rodzaju: „szmaty, brudnej gąbki" i t. p.[65].

Słowa Burcewa przyjmowane są podczas przewodu sądowego jako pewnik, jako prawda niewątpliwa. Dzięki czemu? Działa tu urok demaskatora Azefa. — Generał Gerassimow, ówczesny szef ochrany petersburskiej, w pamiętnikach pisanych na emigracji po 1917 r. prostuje szereg nieścisłości związanych z osobą Azefa. Aferę tą rozdmuchano — jak mówi — dodano do niej szczegóły nigdy nie istniejące, z samej postaci jej głównego bohatera uczyniono jakieś monstrum[66].

„Azefiada" przynosi właściwie rozgłos Burcewowi. Przed tym był on jednym z licznych terrorystów, wydalanym kolejno z Szwajcarii i Anglii, więzionym, wydawcą i redaktorem periodyku o wątpliwej wartości dokumentarnej. — Po „sprawie Azefa" wśród rewolucjonistów jego zdanie w kwestiach ochrany posiada autorytet przesadzony, przeceniany, czemu zapewne zawdzięcza częściowo również późniejsze wysokie stanowisko w Rządzie Tymczasowym. — A mimo to — ten sam Bakaj, jego informator i pupil, w broszurze: „O demaskatorach i demaskatorstwie" (w jęz. ros.), wydanej w New Yorku w 1912 r. potrafił go wykpić wcale niedwuznacznie, cynicznie przyznając, że nie wszystkim jego „rewelacjom" należało wierzyć tak bezkrytycznie jak czynił Burcew[67]. Zarzucano mu niejednokrotnie i udowadniano karygodną lekkomyślność w oskarżaniu o prowokatorstwo lub szpiegostwo niewinnych ludzi (Gorkij, Ryss[68]). Zbytnia ufność naraziła go również na kompromitację, gdy w 1917 r. agentem carskim okazał się jego długoletni osobisty sekretarz[69]. Zresztą jeszcze przed Bakajem zwodził Burcewa skutecznie przez czas jakiś prowokator Heckelman-Landessin[70].

Te fakty muszą nasunąć daleko idące wątpliwości co do charakteru i znaczenia zeznań Bakaja, jak również co do wartości głębokiego przekonania Burcewa. A przecież całe oskarżenie opierało się tylko na tej podstawie. Walka o winę Brzozowskiego była równocześnie walką o wiarogodność Bakaja i nieomylność Burcewa. Lecz ani wiarogodność Bakaja, ani nieomylność Burcewa nie były nigdy dogmatem, który by można było przyjąć bez zastrzeżeń.

Lecz oskarżenie Bakaja łączy się jeszcze z jedną stroną życia Brzozowskiego: ze sprawą materialnych warunków jego egzystencji. Według twierdzenia Bakaja, Brzozowski, wstąpiwszy w grudniu r. 1903 do „Ochrany", pobierał od tego czasu stałe 150 rubli miesięcznie.

Sto pięćdziesiąt rubli była to na czasy przedwojenne suma zupełnie poważna. W jaki zaś sposób w zupełnie zgodnym w tym punkcie zeznaniu wszystkich świadków malują się na rozprawie warunki pracy i życia Brzozowskiego w tym właśnie okresie[71].

Przede wszystkim podkreślana jest ogromna pracowitość, związana z różnorodnością zajęć. Brzozowski pracuje nieraz po 18 godzin na dobę, chwytając każdą sposobność zgodnego z jego przekonaniami zarobku literackiego, czy w charakterze prelegenta. Pisuje stale w „Głosie", pisuje w „Przeglądzie filozoficznym", „Przeglądzie tygodniowym", w „Bibliotece samokształcenia". Opracowuje szkice z zakresu filozofii, czy literatury dla wydawanej przez Arcta biblioteczki „Książek dla wszystkich". Wydaje zarobkowo szereg innych prac. Otrzymuje drugą nagrodę (300 rb.) za dramat „Mocarz" na konkursie im. H. Sienkiewicza, posiada pewne wpływy z przedstawień scenicznych tej sztuki, nieustannie zabiega o możność wygłaszania odczytów płatnych, otrzymując za nie różne sumy od 5 do 40 rb. za odczyt, prowadzi korekty, tłumaczy i streszcza książki z francuskiego i rosyjskiego, a równocześnie żyje w niezmiernie trudnych warunkach materialnych. Warunki te niekiedy są wprost tragiczne.

Obie te strony życia Brzozowskiego w omawianym zakresie, a więc zarówno szczegółowe zestawienia dochodów, jak ogólne warunki egzystencji, znalazły wyczerpujące i nie budzące wątpliwości oświetlenie w czasie przeprowadzonej rozprawy. Wszyscy świadkowie zgodni są pod jednym względem, że niedostatek gości u Brzozowskich stale jako zjawisko chroniczne:

„Uderzała w Brzozowskim zupełna abnegacja pod względem wyglądu zewnętrznego. Długi do kolan tużurek, w którym przechadzał się po mieście, leżał na łóżku z książką, bylejaki krawat, wyświechtany kapelusz... Nie palił. Lubił kawę. Jedyna namiętność książka"[72]. Nosi podarte buty, zniszczone ubranie, do późnej jesieni — lekkie palto. — Kilkakrotnie, na skutek nie uregulowania za czas dłuższy komornego, wymawiają mu mieszkanie. Zatrzymują rzeczy i książki, wykupywane później z trudnością za pośrednictwem znajomych. W domu brakuje przedmiotów codziennego użytku. Mieszkanie świeci pustką, nieumeblowane. — Także samo źle jest z zaopatrzeniem w żywność[73]. To też stara się o zarobek, gdzie może i jak może, nie przerywa pracy nawet w godzinach choroby, w chwilach podwyższonej temperatury[74].

Trochę pomaga mu finansowo rodzina: matka, szwagrowa Walentyna (W. Szalitowa), wuj Mazurowski. Zaciąga pożyczki, stara się o stypendia, pobiera zaliczki od wydawców. — Przez jakiś czas stołuje się u Brzozowskich adwokat Pytliński. Żona, Antonina, udziela lekcji języka polskiego, literatury i pedagogiki, zarabiając 25 — 30 rb. miesięcznie[75].

Następuje zaostrzenie choroby i wyjazd do Krakowa i Zakopanego. Wyjazd ten zostaje umożliwiony częściowo na skutek specjalnie zorganizowanych przez przyjaciół imprez i składek, częściowo przez otrzymanie zasiłku 200 rb. z Kasy miłośników literatury, wreszcie z otrzymanej pożyczki w kwocie 100 rubli. W Krakowie otrzymuje Brzozowski od Akademii Umiejętności sumę 1000 koron. W ten sposób aż do dnia rozprawy przedstawiony jest przez Brzozowskiego szczegółowy obraz środków, składających się na utrzymanie pisarza i jego rodziny zarówno w Warszawie, jak później za granicą. Obraz ten nie został przez nikogo zakwestionowany, choć w wyniku ogólnego nastroju uważano, że nie może on być uznany za dostateczny dowód niewinności. I znowuż działało tu przede wszystkim przekonanie o wiarogodności Bakaja. Przekonania tego nie podważyła nawet wyraźna sprzeczność oświadczeń Bakaja z rzeczywistością w punkcie dotyczącym osobistego wręczenia Brzozowskiemu 75 rubli na ul. Miodowej w Warszawie, w lutym r. 1905, to jest w okresie, w którym Brzozowski był już po-

nad wszelką wątpliwość za granicą ówczesnego Królestwa.

V. Epilog życia

Sprawa nie została doprowadzona do końca. W drugiej przerwie rozpraw sądu wyjeżdża Brzozowski do żony i córki, przebywających we Florencji. Stale pogarszający się stan zdrowia[76] nie pozwala na ponowny powrót do kraju, dla wznowienia procesu. Zbliża się śmierć. Tragicznie wymownym dokumentem chwil ostatnich jest „Pamiętnik"[77] prowadzony od 10 grudnia 1910 do 5 kwietnia 1911 roku. Pisany niesystematycznie, zwłaszcza przy końcu. Znać, iż myśli i spostrzeżenia zebrane w nim — stanowią surowy materiał do dalszych prac. Z Polski dochodzą skąpe odgłosy, przeto zainteresowania skierowują się w stronę autorów obcych. Blacke, Sorel, Shelley, Newman, Lamb — te nazwiska powtarzają się często.

Wyczuwa się zmęczenie i pragnienie odpoczynku, ogarniające pisarza. Znużenie walką polemiczną, walką z potwornym oskarżeniem Bakaja, potrzebę spokoju, ciszy. A jednak — Brzozowski w pracy nie ustaje, zmusza go do niej lęk o los żony i córki. „Długo nocą rozlegał się stukot maszyny, na której pisał w gorączkowym pośpiechu, jakby w obawie, że nie zdoła wypowiedzieć całej myśli"[78].

Tak zmagając się z własną niemocą i niedołęstwem, w osamotnieniu, rzadko przerywanym przyjazdem przyjaciół[79], w tęsknocie za krajem, — umiera Brzozowski, dnia 30 kwietnia 1911 roku, przeżywszy lat 33.

VI. Dzieje sprawy

Wraz ze śmiercią „oskarżonego" sprawa jego nie przestała interesować społeczeństwa. Po 1917 roku nabiera cech aktualności z powodu umożliwienia dostępu do biur ochrany. Jednak część tych biur zniszczyła burza rewolucyjna, tak, że dotąd nawet nie wykryto wszystkich agentów policji tajnej. Dotychczasowe rezultaty badań archiwów żandarmskich są więc niepełne, względne[80].

W 1918 Stefan Żeromski, pisząc „Projekt Akademii Literatury Polskiej," wysuwa jako jej pierwsze zadanie przeprowadzenie dowodu prawdy w sprawie Brzozowskiego i jego ewentualnej rehabilitacji.

W 1923 pierwszy kongres literacki w Warszawie uchwala rezolucję żądającą od wszystkich anonimowych oskarżycieli i oszczerców pisarza — podania konkretnych faktów świadczących o jego winie.

Witold Klinger, Ostap Ortwin, Rafał Buber, trzej przyjaciele zmarłego, drukują na łamach: Wiadomości Literackich, Przeglądu Współczesnego, Wiedzy i Życia — artykuły broniące jego pamięci.

Ignacy Daszyński w „Pamiętnikach"[81] odnotowuje pogląd prywatny sędziów partyjnych, wierzących raczej Brzozowskiemu niż Bakajowi. Zgodne z oświadczeniem Feliksa Kona w roku 1927 w Moskwie[82].

W 1935 Emil Bobrowski w „Drodze" ogłasza „Akta sądu obywatelskiego". Prof. W. Klinger w „Wiedzy i życiu" wysuwa koncepcję „nabrania" St. Brzozowskiego przez ochranę, ukrytą pod anonimową firmą kijowską „Sierp"[83].

W 1936, w dwudziestą piątą rocznicę śmierci na nowo zostaje poruszona kwestia rehabilitacji. Polemika wszczęta dokoła art. Wacława Kubackiego w „Gazecie Polskiej" (7, 8 czerwiec), numer 29 „Kuźni Młodych" (1 maj), proces Kazimierza Wyki z „Ultimą Thule", wspomnienia: Zofii Nałkowskiej, Michała Sokolnickiego, Anny Brzozowskiej, przyczynki z „Epoki", broszura prof. J. Krzesławskiego, wreszcie wydanie zbiorowe dzieł pisarza, zapoczątkowane tomem „Kultura i życie" przez Instytut Literacki — oto plon ostatnich kilku miesięcy ubiegłego roku.

„Mam wrażenie — mówił kiedyś Wł. Orkan — że co pewien czas „sprawa Brzozowskiego" będzie nękać społeczeństwo, zadręczać wyrzutami sumienia, aż będzie udowodniona niewinność tego człowieka, tak straszliwie oplwanego i zdeptanego."[84].

Najwyższy czas, by głos zabrała Polska Akademia Literatury i ta instancja, która oskarżenie w 1908 poparła: Polska Partia Socjalistyczna. Najwyższy czas — póki żyją nieliczni już zresztą świadkowie z procesu krakowskiego.

Kończąc niniejszą pracę, pragnę wyjaśnić, że starałem się w niej zcalić dotąd ogłoszone drukiem przyczynki, materiały, akta, uzupełniając je w miarę możności rozmowami z współczesnymi pisarzowi ludźmi.

Wiele ciekawych szczegółów, wiążących się z życiem, z żalem musiałem odłożyć na bok, jako nie mających nic wspólnego z „Sprawą", choćby pośrednio.

Robotę utrudniał brak tak ważnych danych jak listów do znajomych, przyjaciół, rodziny.

Szkic ten uważam jedynie za pewien fragment studiów poświęconych Brzozowskiemu.

Pozwalam sobie podziękować tym wszystkim, którzy mi w jakikolwiek sposób w pracy mojej dopomogli.

„Sprawę" raczą przyjąć: Żona i Córka Pisarza — Panie: Antonina i Anna, Brzozowskie.

Przypisy:

50) Lwów, 12 maja 1911 r.

51) Poufne pos. z dn. 20. III. 09, zeznania świadków Szwebera, Sary i pepesowca K. (Droga nr 7); list dr. H. Diamanda, Lwów 5. IV. 09 (Droga nr. 10); rozmowa z p. W. Szalitową, Warszawa 14. VI. 36.

52) Pos. z dn. 24.III 1909. (Droga nr. 9).

53) Odczytanym dopiero na pos. z dn. 20. II. 09. (Droga nr. 6).

54) Wyd. „Kniga". Petersburg 1917. St. Drzewiecki: „Jeszcze w sprawie Brzozowskiego. Co mówią akta policji? Imiennik Brzozowskiego szpiegiem. Zeznania Garkuna". Wiadomości Literackie nr. 44 (168), r. 1926.

55) Pos. z dn. 15. II. 09. (Droga nr. 3).

56) Patrz przyp. 1, Nr. 15/16 „Narodu i Państwa".

57) „Pierwsze pytanie: „Kakoje wpieczatleńje proizwieli na was obwinionnyje? (Jakie wrażenie zrobili na nim, na Bakaju, oskarżeni?). Odpowiedź Bakaja: „Otjawlennych ubijc, sposobnych pit' krow swoich ojcow" (notorycznych morderców, gotowych pić krew swoich ojców). Drugie pytanie: „Czem objasniajetsia czystoserdiecznoje priznanje obwinajemych?" (czym się tłumaczy szczere przyznanie się do winy oskarżonych?) Odpowiedź Bakaja: „Moim nrawstwiennym na nich wozdiejstwijem" (moim moralnym na nich wpływem)...". Wł. Gacki: Kilka listów Stanisława Brzozowskiego. Lublin 1935 str. 11, rozmowa z adw. E. Śmiarowskim. — Nadto: poufne pos. z dn. 21. III. 09, zeznania św. E. Śmiarowskiego (Droga nr. 7); list L. Belmonta - Blumenfelda, Warszawa 12. III. 09 (Droga nr. 9).

58) Wł. Gacki — rozmowa z adw. Śmiarowskim; pos. z dn. 18. II. 09, zeznania świadków: Kułakowskiego i Kwiatka (Droga nr. 4); I. Dobkowskij: „Burcew a sprawa St. B.", Wiadomości Literackie r. 1931, nr. 29 (394).

59) Poufne pos. z dn. 21. III. 09, zezn. św. E. Śmiarowskiego (Droga nr. 7); listy: L. Winawera (W. Schmidta), 19. III. 09 i M. Sachsa, Lwów 13. III. 09 (Droga nr. 9).

60) Mowa Stołypina w Dumie. Pos. L, sesji II. Przegląd Poranny, 26. II. 09: „Biorę jako przykład drukowane obecnie w gazecie „Matin" wyjaśnienia Bakaja, obecnego rewolucjonisty, a b. współpracownika departamentu policji. Otrzymałem od Bakaja niedawno list, w którym prosi, bym się zapoznał z tymi dokumentami, które zatrzymał w roku 1907. Proponuje, by mógł powrócić do Petersburga w celu dopomożenia dalszym rewelacjom. Dokumenty te widocznie były także przygotowane dla prasy. Są nawet identyczne z tym co się drukuje w „Matinie".

61) Z. Nałkowska: „Wspomnienie o sprawie Brzozowskiego". Studio nr. 3 — 4, 1935 r.

62) Rafał Buber: „Czas zamknąć sprawę B." Wiadomości Literackie nr. 24 (180), r. 1927.

63) Pos. z dn. 15. II. 09, zeznania św. Burcewa (Droga nr. 3).

64) Burcew: „Borba za swobodnuju Rossiju. Moi wospominania". Berlin 1923; Artur Prędski — wywiad z Burcewem w Paryżu, listopad 1926. Wiadomości Literackie nr. 49 (153); list z dn. 21. VIII. 1935 do E. Bobrowskiego.

65) Pos. z dn. 21. III. 09 listy: Wiery Figner, Paryż 28. II. 09 i Hermana Łopatina, Paryż 5. II. 09 (Droga nr. 7).

66) Guerassimow: „Tsarime et terrorisme", wyd. francuskie. Paryż 1934: „Il en resulta qu'autour d'Azef se créèrent beaucoup de legendes dont la plupart n'ont pas cesse d'avoir cours dans l'esprit de trop credules lecteurs... Ceque je vais dire de lui differe du tout au tout de ce qu'on en pense communement. Aussi, je sais que beucoup de mes lecteurs ne se laisseront pas convaincre par mon argumentation; mais je m'estimerai satisfait si je réussis a éveiller, tout au moins dans l'esprit de quelques uns, le scepticisme à l'égard des legendes qu'on raconte actuellement sur Azev, et le desir de faire par eux-memes la critique des documents dignes de foi qui existent... Pendant les deux années qu Azev travailla avec moi, je pus le connaitre intimemment et bien comprendre le fond de son caractère". Rozdziały: X. Je fais la conaissance de mon meilleur collaborateur; XXI. Azev est démasqué; XXII. La personnalité d'Azev.

67)) Henryk Drzewiecki: „Przyczynek do sprawy B. Nieznana broszura Bakaja", Wiadomości Literackie r. 1927 nr. 41 (197).

68) Salomon Ryss, wybitny działacz frakcji maxymalistów, z polecenia egzekutywy partyjnej wstąpił w czerwcu 1906 do ochrany petersburskiej dla uprzedzania partii o zamierzeniach wroga. Ponieważ jego właściwa rola znaną była małej garstce osób, po jej ujawnieniu w policji, Gerassimow poprzez swoich konfidentów szerzył defetyzm w szeregach rewolucyjnych, budząc nieufność do S. Ryssa. Udało mu się oszukać i Wł. Burcewa.

69) W. Klinger. Wiedza i życie nr. 7, 1935.

70) Wywiad z O. Ortwinem w Wiadomościach Literackich, r. 1927, nr. 9 (165); Przegląd Poranny 16.II.09, art.: „Szpiegi".

71) Rozdział niniejszy opracowany na podstawie: akt sądu partyjnego, ogłoszonych w „Drodze" z r. 1935: 1) posiedzenie z dn. 14. II. 09 — zeznania św. Gałczyńskiego, listy: dr. Wł. Wrońskiego, Otwock 8. IX. 08 i dr. Br. Chrostowskiego, Otwock 10. IX. 08 (Nr. 2); 2) pos. z dn. 21. III. 09 — list F. Doleżala (pseud. pepesowy: Assyryjczyk) (Nr. 7); pos. z dn. 24. III. 09 — listy: J. Dawidowej, Warszawa 10. III. 09 i St. Przybyszewskiego, Monachium 16. III. 09 (Nr. 9). Nadto na podstawie książki Wł. Gackiego: „Kilka listów Stanisława Brzozowskiego". Lublin 1935, oraz rozmów z pp. Antoniną Brzozowską (Warszawa 14. VI. 1936), Adolfem Nowaczyńskim (6. VI. 1936), Henrykiem Lukrecem (30. V. 1936) i Bernardem Szarlitem (14. VI. 1936). Vide poza tym art. p. H. Lukreca w „Epoce" nr. 1 (66) z dn. 7. VI. 1936 p. t. „Wśród duchowych przewodników".

72) Władysław Gacki: Kilka listów St. Brzozowskiego, Lublin 1935, str. 4.

73) „Bywało i tak, że przysyłał do nas służącą, by mu rubla pożyczyć, bo nie było dla dziecka na mleko..." List St. Przybyszewskiego z Monachium. Droga nr. 9.

74) „Nie pomnę przykrzejszego wrażenia nad to, jakiegom doznawał, gdym dzień po dniu widział jak człowiek śmiertelnie chory — pluł wtedy ustawicznie krwią — siedział na łóżku i pracował dalej, choć co chwila na poduszki opadał..." St. Przybyszewski. List z Monachium. Droga nr. 9.

75) Pos. z dn. 20. II. 09. Finanse St. B. Droga nr. 6.

76) Listy z Florencji 24 i 29. XI. 09; list R. Bubera z dn. 28. XI. 09 (Droga nr. 11). Chory był na zapalenie błony brzusznej i do tego na suchoty.

77) Lwów 1913, nakł. A. Brzozowskiej (żony). Fragmentami z listów autora i objaśnieniami uzupełnił O. Ortwin.

78) A. Brzozowska (córka): „Wspomnienie o St B.", Wiedza i życie nr. 6 — 7, r. 1936.

79) J. Wł. Dawida, W. i E. Szalitów, Herbaczewskiego.

80) Gerassimow, str. 90: „Je crois utile de mentionner ici que les collaborateurs secrets qui se trouvaient sous ma direction, de 1906 a 1909, ne furent pas tous decouverts par la suite, apres la révolution de 1917. En effet, pendant cette révolution, les archives de l'Okhrana de Sainte - Petersbourg furent presque entierement détruites, et au departament de la Police on ignorait absolument tout de leur personnalité. Personne d'autre que moi ne les conaissait... La plupart de ces agents cessèrent alors, en meme temps que moi, de travailler pour la police, et leurs noms, jusqu'a maintenant, n'ont pas été devoiles...".

81) Kraków 1926, t. II.

82) Wywiad z F. K. przeprowadzony przez p. Pawła Ettingera. Wiadomości Literackie nr. 10 (166).

83) Sprawa ta nadal zdaje się pozostanie zagadką. Według prof. J. Krzesławskiego słowo „Sierp" to poprostu skrót tytułowy Związku rewolucyjnych partii żydowskich (Sojuz jewr. rew. part.) „Prawda o Brzozowskim". Warszawa 1936.

84) J. Wiktor: „Tragedia B." Prosto z mostu nr. 23, 1935 r.

Władysław Oszelda

ZAGADNIENIA

Polska na tle międzynarodowego ruchu turystycznego

Turystyka jest ruchem dynamicznym, uwarunkowanym od całego szeregu przyczyn, często od siebie niezależnych. Mówiąc o turystyce, a turystyce polskiej w szczególności, chętnie posługujemy się ogólnikami. Z labiryntu zmagań myślowych zwykle znajdujemy jedno wyjście, a jest nim konieczność wzmożenia ruchu turystycznego z zagranicy do Polski. Zaznaczam, że w artykule swoim piszę o roli naszej turystyki w światowym ruchu turystycznym i na tym tle szkicuję odpowiednie plany, rzucam płynące z logicznego wnioskowania sugestie. Nie zaczepiam wyłącznie o naszą turystykę wewnętrzną, krajową, która ma inne zgoła podłoże i z innego punktu widzenia może być rozpatrywana.

Nie trzeba chyba tłumaczyć i pisać o roli i znaczeniu turystyki zagranicznej do Polski. Turystyka służy dziś nie tylko propagandzie, lecz staje się ważnym odcinkiem gospodarstwa państwowego[1]). W r. 1929 do Francji wpłynęło z turystyki zagranicznej 392 miliony dolarów w złocie, do Kanady 307,1, — do Italii 137,4, — Austrii 36,6, — Polski 18,7; w roku 1935 Kanada zarobiła na turystyce już tylko 119,5 miliona dolarów, Czechosłowacja 11,1, w Polsce wpływy z turystyki zagranicznej spadły do 3.8 milionów dolarów amerykańskich w złocie. Według szacunków Komitetu Ekonomicznego Ligi Narodów suma wypłat zagranicznych z tytułu wydatków turystów na całym świecie przekroczyła prawdopodobnie w roku 1929 cyfrę 1.700 milionów dolarów, co stanowi ca 5% wartości towarów, wchodzących do obrotów zagranicznych. Jeśli chodzi o lata po roku 1929 to turystyka (przynajmniej w niektórych krajach) międzynarodowa notuje katastrofalny spadek wpływów z tytułu podróży i pobytu zagranicznych turystów. Tak np. wydatki turystów z U. S. A. w Italii w roku 1935 stanowiły zaledwie 9% sumy wydatkowanej przez turystów tego samego państwa w r. 1929.

Zbyt dużo czasu i miejsca zajęłoby nam analizowanie ruchu turystycznego z zagranicy do Polski przy uwzględnieniu poszczególnych państw. Globalnie tylko stwierdzić trzeba, że aczkolwiek przypływ walut do Polski spadł znacznie, zato liczba cudzoziemców przybywających do Polski wzrosła. Gdy w r. 1931 zarejestrowano w 27 większych miastach Polski 74.662 osoby, to w roku 1935 cyfra ta wzrosła do 92.455 osób.

A teraz, nie wnikając w subtelności na temat potrzeby czy bezpotrzeby sprowadzania turystów do Polski, stawiając jako zasadę, że ruch taki jest dla nas momentem pożądanym, zastanówmy się, jak należałoby ożywić go i sprowadzić na tory jak najracjonalniejszego rozwiązania. Trzeba stwierdzić, że państwo ma niemal że decydujący i wyłączny wpływ na rozwój turystyki zwłaszcza zagranicznej (przyjazdy zagranicznych turystów do Polski). Obserwujemy to w całym szeregu państw, które drogą umów, kompensat, traktatów potrafiły sprawy wymian turystycznych uregulować wydatnie na swoją korzyść. Każde z państw z zrozumiałych względów dąży do pozyskania jak największej liczby turystów zagranicznych, których zwabia nie tylko pięknymi prospektami, ale taniością cen, zniżkami kolejowymi i innymi, wprowadzeniem walut turystycznych oraz dobrą i celową propagandą. Dalsza ingerencja państwa w sprawy turystyczne polega np. na znoszeniu wiz wjazdowych, wprowadzeniu w życie umów granicznych (nadgraniczne pasy turystyczne) etc.

Lecz czy tylko samo państwo jest powołane do wnikania w sprawy turystyki z zagranicy, do przeprowadzania jak najszerszej propagandy wśród obcych za zwiedzaniem naszego kraju? Nie, nie tylko państwo. Obowiązek ten winno przejąć i społeczeństwo, a to nie tylko z poczucia solidarności współdziałania z państwem, ale przede wszystkim z poczucia dobrze pojętego interesu własnego. Przecież turysta zagraniczny, przybywający do Polski, zasila nie tylko kasy państwowe, czerpią obfite (często za obfite) zyski właściciele hoteli, pensjonatów, biura podróży, przemysł ludowy, słowem najrozmaitsze odcinki naszego życia gospodarczego. Niestety, jak dotąd odpowiedzialność za propagandę turystyczną naszego kraju zagranicą ponosi niemal wyłącznie państwo. Inicjatywa społeczna jest w tym kierunku minimalna.

Zrozumiałą jest rzeczą, że my nie możemy mieć takich ambicji, jak turystyczna Austria, jednak nasze związki turystyczne, instytucje społeczne, zrzeszenia przemysłu turystycznego winny pomyśleć o jakiejś szerszej propagandzie naszego kraju zagranicą.

O ile się nie mylę, nie ma w Polsce instytucji, która by regulowała, koordynowała wysiłki poszczególnych resortów, współdziałała ze społeczeństwem, nadawała akcji jednolity charakter i kierunek. A szkoda, naprawdę szkoda. Instytucje takie stworzyło cały szereg państw, państwa, które doceniają w pełni rolę i znaczenie zagranicznej turystyki do kraju. Francja już w r. 1910 zorganizowała pierwszy Państwowy Urząd Turystyczny, doceniając wielkie znaczenie celowej i jednolitej reklamy swego kraju.

Pisząc o propagandzie turystycznej za granicą, trzeba sobie uzmysłowić fakt, że nie kończy się ona na werbowaniu turystów cudzoziemskich, ma ona specjalne znaczenie podczas ich pobytu w Polsce. I tutaj społeczeństwo ma najwięcej do powiedzenia. Umiejętność obchodzenia się z cudzoziemcami jest sztuką, którą w niektórych państwach doprowadzono do perfekcji. Pod tym względem społeczeństwo nasze nie jest zbytnio uświadomione.

Pisząc o turystyce z zagranicy, grzechem niemal byłoby nie wspomnieć o turystyce Polaków z zagranicy do Polski. Niestety brak dość ścisłych statystyk, które by pozwoliły nam ruch ten należycie przeanalizować i wysnuć pewne wnioski. O ile cenimy sobie cudzoziemskiego turystę i staramy się o jego wygody i przyjemny pobyt, w odniesieniu do Polaka z zagranicy, który przybywa do „Starego Kraju", winniśmy tę troskę podwoić. Polak bowiem z zagranicy patrzy na Polskę nie tylko jako na teren turystyczny. W Polsce, w Ojczyźnie oddycha on polskością, hartuje swą wiarę w wartości duchowe naszego narodu. Po wyjeździe zagranicę jest najlepszym propagatorem nie tylko Polski — turystycznej wśród obcych ale i Polski i polskości wśród swoich na obczyźnie. Nic więc dziwnego, że oceniając ruch turystyczny rodaków z zagranicy do Polski tak na oko, stwierdzić musimy, że wzrasta on z roku na rok. Oficjalne statystyki mówią nam, że pierwsze miejsce w przejazdach „cudzoziemców" do Polski w latach 1932 — 1935 zajmowali obywatele niemieccy, czescy, amerykańscy i francuscy.

Wartoby przeanalizować i zdać sobie sprawę z tego, ilu wśród tych „cudzoziemców" było Polaków. Niewątpliwie byłoby to bardzo pouczające zestawienie. Boć przecież z tych krajów, gdzie mieszka najwięcej Polaków, notuje statystyka największe nasilenie turystyki do Polski. Działalność „Orbisu" na terenach polskiej emigracji i państw przygranicznych w jaskrawy sposób potwierdza wielkie znaczenie naszej Polonii Zagranicznej w całokształcie ruchu turystycznego z zagranicy do Polski, stanowiącego ważną pozycję w naszym bilansie płatniczym. Według informacji zasięgniętych w „Linii Gdynia — Ameryka" w samym roku 1935 przybyło do Polski Polaków ze Stanów Zjednoczonych A. P. okrętami „Linii G. A." 964 osób, w 1936 r. liczba ta wzrosła do 1.378 osób. Są to ma się rozumieć cyfry mało orientujące, jeśli uwzględnimy fakt, że Polacy z U. S. A. posługują się przy przejazdach i okrętami innych linii okrętowych. Poza tym dojdą tu dość poważne cyfry przy uwzględnieniu Polaków przybywających do Polski z Kanady (okrętami „Linii G. A." przybywa rocznie około 300 osób) oraz Ameryki Południowej (głównie Brazylii i Argentyny). Wysuwając wnioski odnośnie podróżowania Polaków z zagranicy do Polski, należałoby temu stale potężniejącemu ruchowi wyjść na przeciw. Nie tylko przybywających rodaków otaczać opieką, — często zdawkową — ale przez serdeczny impuls całego społeczeństwa zbliżyć ich do Polski, dać im odczuć, że są naprawdę u siebie w domu, w Ojczyźnie. Nie piszę tu już o takich sprawach, jak kwestia zniżek (kolejowych, w hotelach i pensjonatach etc.).

Propaganda wśród Polonii Zagranicznej za zwiedzaniem Polski jest dostatecznie nasilona. Światowy Związek Polaków z Zagranicy zaopatruje ośrodki wychodźcze i autochtonne w odpowiednią literaturę o Polsce, poza tym wydaje specjalny serwis krajoznawczy matrycowo - fotograficzny dla prasy polskiej na obczyźnie w formie tygodnika „Polska". Niezależnie od tego wysyła się do całej prasy polskiej zagranicą codzienny serwis biuletynowy z artykułami i notakami o Polsce. Do serwisu dołączane są komplety matryc fotograficznych. Związek wydaje również miesięcznik ilustrowany „Polacy Zagranicą", który między innymi zagadnieniami porusza też sprawy podróżowania rodaków z zagranicy do Polski. W ostatnich czasach cały szereg pism polskich na obczyźnie wprowadziło ilustrowane dodatki, w których zamieszczają obrazki z życia Polski. Pisma zaś codzienne stale zamieszczają w tekście reprodukcje zdjęć ojczystego kraju

Ten stale wzrastający kontakt „Starego Kraju" z Polonią Zagraniczną należy przede wszystkim podtrzymywać. Tu nie tylko względy turystyczne odgrywają rolę, ale idea współdziałania i współpracy 8 milionowej rzeszy Polaków z zagranicy z krajem macierzystym.

Reasumując, stwierdzić muszę, że aczkolwiek turystyka z zagranicy do Polski na tle międzynarodowym nie przedstawia się wspaniale, nie mniej wykazuje stałe tendencje rozwoju. Doświadczenia kilku lat uczą nas, że na tym odcinku popracować naprawdę warto i należy.

---

[1]) Liczby poniższe oparte są na wydanej niedawno książce dyr. „Orbisu" p. M. Fularskiego p. t. „Polska w międzynarodowym ruchu turystycznym".

NOTATNIK ZAGRANICZNY

Znamienny głos francuski

(z.d.) Najpoważniejszy dziennik paryski, *Le Temps*, poświęca 30 kwietnia artykuł wstępny stosunkom angielsko-francuskim. Biorąc za punkt wyjścia serdeczne słowa, jakie pod adresem Francji wypowiedział nowy ambasador Wielkiej Brytanii Sir Eric Phipps przy okazji składania listów uwierzytelniających, organ paryski analizuje szczegółowo przyczyny, które się złożyły na istniejącą dziś ścisłą współpracę angielsko-francuską. W dalszym ciągu artykułu poddane są znów analizie czynniki, od jakich uzależniona jest trwałość tej współpracy.

I w jednym i w drugim wypadku rozumowanie *Tempsa* jest niezmiernie charakterystyczne, godne zacytowania. Ciekawe jest przede wszystkim, jakie to „wspólne ideały, interesy i metody" wylicza dziennik paryski, chcąc zilustrować podstawy ścisłej współpracy Anglii i Francji. Czytamy więc, że „jedna i druga są państwami zaspokojonymi; jedna i druga nie dopominają się od swych sąsiadów niczego innego, jak bezpieczeństwa; obie myślą, że bezpieczeństwo to nie mogło by być oddzielone od bezpieczeństwa ogólnego; na koniec oba państwa wyznają wspólne *credo* międzynarodowe, którego pierwszym artykułem jest, że siła nie może w żadnym razie górować nad prawem". I to wszystko! Na tej liście „wspólnych ideałów, interesów i metod" brak wspólnego ideału demokracji. Po raz pierwszy nie czytamy w *Tempsie* o „dwóch państwach demokratycznych", złączonych „wspólną troską obrony demokracji."

Nie sądzimy, aby to znamienne pominięcie miało oznaczać jakąkolwiek zmianę w sposobie ujmowania przez redakcję aktualnych zagadnień polityki międzynarodowej. Nie sądzimy, aby to pominięcie elementu wspólnego przywiązania Anglików i Francuzów do demokracji było zrobione celowo. Wydaje się nam natomiast, że po prostu uzasadniając ścisłą współpracę Anglii i Francji można spokojnie pominąć element wspólnoty ideologicznej. Po prostu tam, gdzie mowa o istotnej zawartości nie ma po co zajmować się... opakowaniem.

Charakterystyczne jest również, że *Temps*, podkreślając ścisłą łączność poczynań Anglii i Francji na płaszczyźnie międzynarodowej, uważa za potrzebne wykrzyknąć: „jednak baczność! Nie należało by, aby ta ścisła łączność z Wielką Brytanią wydała się Francuzom miękką poduszką, na której mogą usnąć bez ciężkich trosk międzynarodowych".

Uzasadniając to *Temps* zwraca uwagę, że z jednej strony współpraca francusko-angielska posiada pewne, powiedzmy „naturalne", granice, a z drugiej strony nie mogłaby ona rozwijać się harmonijnie bez jednakowego i wytrwałego wysiłku obu partnerów. Granice tej współpracy „mają wynikać z rozmaitej pozycji geograficznej i politycznej obu państw: Francja, choć posiada rozległe imperium zamorskie, którego nie mogłaby, pod karą śmierci, lekceważyć, jest rdzenną potęgą kontynentalną. Nigdzie indziej jak w Europie zadecydowałby się w razie czego los tego imperium, którego jedynym mózgiem jest Paryż. Równowaga europejska posiada więc dla Francji znaczenie, jeśli nie z gruntu realniejsze, to co najmniej bardziej oczywiste i bezpośrednie niż dla Wielkiej Brytanii. Ta znów stanowi część imperium jeszcze rozleglejszego, rozczłonkowanego na pięć części świata, ale przestała w nim być panią. W *Commonwealth* narodów brytyjskich nie ma podporządkowania jednego drugiemu, nie ma nawet stałych, wspólnych organizmów. Niczego poza tradycjami i wspólnymi skłonnościami. I jeden jedyny łącznik prawny: korona. Mechanizm niezwykle delikatny, który zakłada, u tych, co są obarczeni wprowadzaniem go w działanie, niezwykłą przezorność."

„Nie ulega wprawdzie wątpliwości — czytamy dalej w artykule *Tempsa* — iż gabinet londyński nie zaniedbuje nigdy sprecyzowania, że zobowiązania, jakie może wziąć na siebie, bierze jedynie w imieniu Zjednoczonego Królestwa; bez wątpienia Dominia zgadzają się, że zapewnia sobie ono w sposób jak najlepszy swe bezpośrednie bezpieczeństwo. Ale jak nie można sobie wyobrazić, że bez rozerwania jedności *Commonwealth* Dominia mogłyby pozostać neutralne w konflikcie, w którym Wielka Brytania byłaby zaangażowana, tak rząd brytyjski musi za wszelką cenę nie dopuścić, by konflikt taki wyniknął w okolicznościach, w których całe imperium nie czułoby się bezpośrednio zagrożone. Stąd też troska dyplomacji brytyjskiej, aby działać możliwie tylko za pośrednictwem Genewy, Genewy, gdzie Dominia są reprezentowane. Stąd niechęć do zaciągania zobowiązań wykraczających poza ramy paktu Ligi Narodów lub poza Ren, który nawet Dominia uznają obecnie za istotną granicę *Commonwealth*. Nie ma stąd „ścisłej łączności" z Francją, która by mogła, co najmniej w tej chwili, przeważyć potrzeby dotyczące samej struktury systemu brytyjskiego. A również ta łączność nie może nas zwalniać z osobistego wysiłku. Powtarzaliśmy często, że niepokój europejski wynika w dużej mierze z niedostateczności zbrojeń angielskich i zastrzeżeń, jakie wywołują niejednokrotnie pewne momenty francuskiej polityki wewnętrznej. Wiadomo, z jaką energią Wielka Brytania wzięła się do skorygowania swych niedostatecznych zbrojeń. Aby nikt nie wątpił w siłę nie tylko militarną, ale również finansową i moralną Francji, zależy to od Francuzów."

Analizując powyższe wywody *Tempsa*, dochodzimy do wniosku, że dziennik paryski stara się zwrócić uwagę opinii francuskiej na sprawy następujące:

Francja i Anglia, jako mocarstwa o rozmaitej strukturze geograficznej i politycznej, mają tylko pewien ograniczony zakres działania, w którym mogą poczynania swe uzgodnić całkowicie. Bezpieczeństwo nad Renem leży właśnie w tym zakresie i stanowi główny punkt, w którym zbiegają się najżywotniejsze interesy obu imperiów. Jednak wychodząc poza Ren, sprawy międzynarodowe zaczynają mieć różne znaczenie dla mocarstwa uniwersalnego, morskiego — Anglii, a inne dla mocarstwa kontynentalnego — Francji. Dopóki więc polityka Francji i Anglii skupia się na zagadnieniu pokoju nad Renem, ścisła łączność poczynań Anglii i Francji jest uzasadniona. Z chwilą jednak, kiedy problem reński zostanie rozwiązany i uwaga Anglii i Francji skupi się na innych punktach Europy — Polsce, Rosji lub Włoszech — wówczas może się okazać, że interesy obu mocarstw nie są zbieżne i „ścisła łączność" się rozluźni. Szczególnie Włochy są niebezpiecznym tematem dla współdziałania Francji i Anglii; dla Francji jest to problem morski i kontynentalny, dla Anglii jedynie morski, a to już z natury rzeczy kryje w sobie rozbieżność metod traktowania zagadnienia.

Dalej przestrzega *Temps* swoich czytelników, że współpraca Anglii i Francji może rozwijać się nadal jedynie w wypadku, kiedy Francja będzie do niej wnosić odpowiednie elementy siły. *Temps* robi niedwuznaczną aluzję do tego, że „zagranica", a więc i w Anglii, zaczynają powstawać na gruncie negatywnej oceny wewnętrznej sytuacji politycznej we Francji wątpliwości co do jej wartości jako sojuszniczki. Jeżeli więc sytuacja wewnętrzna we Francji — polityczna i gospodarcza — nadal będzie się rozwijać w sensie raczej niekorzystnym, to może to ostatecznie spowodować odsunięcie się Anglii od Francji, jako sojuszniczki niepełnowartościowej. Dlatego też nie należy traktować tej obecnej ścisłej i serdecznej współpracy angielsko-francuskiej jako poduszki, na której można złożyć głowę do beztroskiego snu.

Jeżeli zaś ostrzeżenie takie jest potrzebne we Francji, to tym bardziej będzie na miejscu w Polsce, gdzie wielu ludzi chciałoby oprzeć koncepcję naszej polityki zagranicznej na domniemanym dogmacie niezachwianej łączności między Anglią i Francją. Państwa te ani nie tworzą bloku, ani też ten blok — jeśli by nawet istniał — nie byłby trwały.

Wydarzenia w Barcelonie

(z. d.) Przyzwyczajeni już jesteśmy do alarmujących wiadomości o sytuacji wewnętrzno - politycznej w Katalonii. Wiadomości te część prasy, sprzyjająca gen. Franco, podawała jako dowód postępującego naprzód rozkładu społecznego w Hiszpanii czerwonej. To tendencyjne nastawienie prowadziło do błędnych wniosków: okazały się takimi wszelkie przepowiednie, zapowiadające całkowite załamanie się władzy legalnej i centralistycznej, w części Hiszpanii nie zajętej przez powstańców. Rzeczywistość przyniosła nam coś wręcz odwrotnego: wzmocnienie władzy rządu Caballero, a co za tym idzie utrwalenie się porządku i siły obronnej.

Proces ten na terenie Madrytu i Valencji dobiega końca. W Katalonii przechodzi dopiero punkt krytyczny. Przejawem tej krytycznej fazy są ostatnie wydarzenia, jakie miały miejsce w Barcelonie i w niektórych innych miejscowościach w Katalonii. Na podstawie rozmaitych, sprzecznych często z sobą, a zawsze tendencyjnych wiadomości można sobie wyrobić tylko ogólnikowy pogląd na przebieg i znaczenie polityczne wydarzeń katalońskich. Pewne jest jedynie, że rozpoczęły się one jako reakcja elementów anarchistycznych przeciwko posunięciom Generalidad, czyli legalnego rządu Katalonii, chcącego umocnić swą władzę faktyczną. Organizacje bojowe anarchistów stanowią kościec sił zbrojnych katalońskich, walczących w Aragonii. Stąd też i władza faktyczna w rejonie frontowym spoczywa w ręku anarchistów. Jednak front posuwa się naprzód, a więc tym samym rozmaite miejscowości wychodzą poza obręb strefy frontowej. W miejscowościach tych Generalidad zadecydowała ostatnio przejąć władzę od anarchistów. Decyzji tej anarchiści nie chcieli się jednak poddać. Organizacje anarchistyczne, z Federation Anarchista Iberica na czele, traktują wojnę domową w Hiszpanii nie tylko jako ogólną walkę przeciwko faszyzmowi, ale tak samo jako sposobność zdobycia w swe ręce władzy państwowej. Kiedy więc Generalidad zawezwała komendy oddziałów wojskowych anarchistycznych do oddania władzy w jej ręce w niektórych miejscowościach, które znalazły się poza obrębem rejonu frontowego, anarchiści mogli odpowiedzieć tylko odmownie. Moment ten stał się w dodatku początkiem jawnej rewolty przeciwko Generalidad. Organizacje anarchistyczne wystosowały do Generalidad żądanie, aby oddana im została „całkowita władza wojskowa, sądowa i administracyjna". Równocześnie oddziały bojówek anarchistycznych otrzymały rozkaz koncentracji w Barcelonie i rozbrojenia sił legalnych.

Przebieg walk między anarchistami a siłami Generalidad znany jest tylko w ogólnych zarysach. Nie jest również wiadome czy istotnie i w jakiej mierze opanowany został zamach stanu anarchistów. Znaczenie zasadnicze ma pytanie, jaki jest los interwencji rządu Caballero w sytuację wytworzoną na terenie autonomicznej Katalonii. Rząd Caballero wkroczył na widownię wydarzeń, wysyłając do Katalonii w dniu 5 b. m. silne oddziały wojska i generała Pozas, który miał objąć komendę dywizji katalońskiej na froncie w Aragonii oraz kierownictwo spraw wojskowych i bezpieczeństwa w łonie Generalidad. Szczegółowe wiadomości o wyniku akcji gen. Pozas pochodzą z Walencji. W dniu 7 maja ambasada hiszpańska w Paryżu wydała np. komunikat, w

którym m. in. stwierdza, że w rozruchach w Barcelonie wzięły udział grupy anarchistów, które chciały przeciwstawić się „procesowi konsolidacji i wzmocnienia zasady autorytetu, reprezentowanej przez rząd z Walencji. Początkowo anarchiści opierali się mobilizacji roczników. Teraz znów chcą przeciwstawić się centralizacji dowództwa na froncie aragońskim. Odpowiedź rządu z Walencji nie mogła być inna, jak ta, która miała miejsce: utrzymać te zarządzenia i wziąć na siebie sprawowanie służby porządku i bezpieczeństwa publicznego w Katalonii, w zgodzie ze statutem, nadającym jej autonomię. Znaczy to, że zasada autorytetu, której wcieleniem jest rząd z Walencji, wychodzi z tego kryzysu wzmocniona i rozszerzona. Istotnie, chodzi tu o kryzys autorytetu i władzy centralnej. Daleki od tego, aby oznaczać, jak niektórzy przypuszczają, słabość państwa republikańskiego, kryzys ten jest naodwrót następstwem jego postępującej organizacji i rosnącej siły".

Należy przypuszczać, że komunikat ten istotnie oddaje głębszy sens ostatnich wydarzeń, jakie się rozegrały w Katalonii. Jeżeli rządowi z Walencji uda się opanować sytuację w Katalonii i utrwalić swój wpływ w Generalidad — która stałaby się w ten sposób agenturą rządu Caballero—to proces konsolidacji Hiszpanii czerwonej posunie się ogromnie naprzód, zmniejszając w tej samej mierze szanse na zwycięstwo powstańców.

NOTATNIK GOSPODARCZY

Dalsze »zaciśnięcie pasa« w Niemczech

(s) Korespondent niemiecki „L'Economiste Français" w ostatnim numerze tego pisma (z 1.V.1937) donosi o dalszym pogorszeniu się sytuacji gospodarczej Niemiec na skutek światowej zwyżki cen surowców oraz coraz bardziej powiększających się trudności aprowizacyjnych.

Brak surowców, stanowiący już dłuższego czasu jeden z najpoważniejszych kłopotów sfer kierowniczych Trzeciej Rzeszy, szczególnie dał się we znaki z początkiem wiosny bieżącego roku. Zwyżka światowych cen metali skrępowała niemal zupełnie import i tak już ograniczony w znacznej mierze ze względu na notoryczny brak dewiz. Zwyżki tej (sięgającej np. w odniesieniu do miedzi 100%), jak i trudności finansowych z nią związanych, nie przewidywali twórcy programu autarchicznego. To też nakaz zdobycia odpowiedniego zapasu dewiz stał się bardziej bezwzględny niż kiedykolwiek indziej. Dąży się wszelkimi środkami do poczynienia oszczędności w innych działach importu. Jednak brak surowców zdołał już dotąd poważnie zaważyć na rozmiarach produkcji krajowej. Szczególnie silnie dał się odczuć brak żelaza i stali. Gorączkowe wykonywanie programu zbrojeniowego prędko pochłonęło istniejące zapasy żelaza. Zmniejszenie wydobycia rudy żelaznej w Hiszpanii wskutek szalejącej tam zawieruchy wojennej, kategoryczna odmowa niektórych dostawców (jak np. w Lotaryngii) dalszego aprowizowania przemysłu Rzeszy z uwagi na ciężkie warunki zapłaty, jakie Rzesza ostatnio oferowała swoim dostawcom — wszystko to przyczyniło się do gwałtownego obniżenia produkcji, która dla stali surowej uległa zmniejszeniu z 1.705 milionów ton w październiku 1936 r. na 1.520 milionów w lutym 1937, a dla produktów walcowanych z 1.243 milionów ton na 1.095 milionów w odpowiednim okresie czasu.

Brak żelaza i stali odbija się nie tylko na zwolnieniu tempa zbrojeń, lecz i w nowych restrykcjach, jakie zaciążyły na produkcji przeznaczonej dla zaspokojenia potrzeb osób i instytucji prywatnych. Ostatnio wydany dekret zakazał fabrykom przemysłu metalurgicznego przyjmować zamówienia, których wykonanie nie jest przewidziane w ramach planu produkcji. Zarządzenie powyższe jest więc niemal równoznaczne z ograniczeniem dostaw wyłącznie do wykonywanych na zamówienie państwa. Nie trzeba chyba podkreślać, jak dalece wspomniana „klasyfikacja" zamówień uderza w interesy małych przedsiębiorstw, handlu i rzemiosła, pracujących w dziedzinie metalurgii.

Równolegle z trudnościami, na jakie w realizowaniu swego programu „gospodarki wojennej" napotyka rząd Trzeciej Rzeszy w zakresie surowców, istnieją coraz to wzmagające się trudności, jeśli idzie o zaopatrzenie ludności w artykuły żywnościowe. Danie obrazu ścisłego jest w tej dziedzinie niemożliwe. Statystyki niemieckie, dotyczące zagadnień aprowizacyjnych, w części są niedokładne bądź niekompletne, w części zaś ukrywają istniejące niedomagania. Jednakże można wskazać na kilka charakterystycznych dla obecnej sytuacji Niemiec faktów. Chleb, wypiekany z mieszaniny mąki i kukurydzy, osiąga powoli pozycję, jaką zajmował w dziedzinie konsumcji podczas wielkiej wojny. Ilości masła i tłuszczu, wydzielanych poszczególnym gospodarstwom domowym, zostały znacznie zredukowane. Produkcja serów, zawierających więcej niż 50% tłuszczów mlecznych, została bezwzględnie zakazana. Produkcję czekolady, co ludność odczuła szczególnie w okresie świąt wielkanocnych, znacznie obniżono. Powszechnie daje się zauważyć brak owoców; w wypadku zaś, kiedy można je dostać, odstrasza przed nabyciem niebywała dla stosunków niemieckich drożyzna. (½ kg pomarańcz kosztuje 60 fenigów, jedno jabłko 36 fenigów i t. d.).

Mięso, jakkolwiek pojawia się na rynku, pod względem jakości uległo poważnemu pogorszeniu, gdyż system aprowizacji za pomocą specjalnych kooperatyw nie pozwala producentowi (chłopu) na bezpośrednią sprzedaż towaru detaliście (rzeźnikowi), zmuszając rzeźników i wielkie przedsiębiorstwa hotelowe do przechowywania mięsa przez kilka dni. Bywają zresztą tygodnie, kiedy mięso na przeciąg kilku dni znika całkowicie z rynku. Gdyby właścicielom bydła pozostawiono swobodę w zabijaniu zwierząt, na rynku byłby z pewnością — przynajmniej przez najbliższy okres czasu — nadmiar mięsa, tak silnie bowiem daje się odczuwać brak paszy. Podobnie przedstawia się sytuacja, jeśli idzie o drób. Od czasu do czasu chłopi dziesiątkują swe zapasy, nie mogąc nabyć ziarna potrzebnego dla karmienia drobiu. Bezpośrednim następstwem tego jest znaczne zmniejszenie podaży produktów nabiałowych. W ten sposób powstaje błędne koło, którego gospodarczo dotkliwych skutków nie usuwa bynajmniej interwencja władz kontrolnych, sprawujących opiekę nad aprowizacją rynku, przejawiająca się w rzucaniu co pewien czas na rynek części własnych rezerw żywnościowych, bądź też środków żywnościowych, pochodzących z importu, jak np. mleka i masła holenderskiego, duńskiego czy węgierskiego.

Odnośnie bezrobocia ostatnie tygodnie przyniosły pewną poprawę. W styczniu r. b. osiągnęło ono swój najwyższy, w okresie zimowym, poziom— 1.853.000 bezrobotnych. Poprawę należy zawdzięczać złagodzeniu temperatury, dzięki czemu można było przystąpić do kontynuowania wielkich robót publicznych. Nawiasem mówiąc, jest rzeczą trudną urobić sobie właściwą opinię o natężeniu bezrobocia w Niemczech, które z jednej strony ukrywa się pod pokrywką organizacji służby pracy i zaciągów do armii, z drugiej zaś obejmuje (podobnie zresztą jak i u nas) dużą ilość „niewidzialnych" bezrobotnych, nie korzystających z opieki państwa.

W zakresie siły nabywczej nie zanotowano poważniejszych zmian. Wpływ gospodarczy zwiększenia ogólnej sumy płac wskutek zaangażowania w ciągu ubiegłego roku w przemyśle inwestycyjnym wielkiej ilości bezrobotnych był stosunkowo słaby. Oficjalna statystyka przyjmuje zwiększenie obrotów wielkich magazynów o 11% (styczeń 1937) w stosunku do odpowiedniego okresu poprzedniego. Całość obrotu detalicznego uległa wzrostowi o 22% pod względem ilościowym, o 31% pod względem wartości. Różnica między tymi dwiema cyframi wskazuje w sposób nie podlegający dyskusji na zwyżkę cen, dokonaną na przestrzeni ostatniego roku. Reglamentacja cen, jeśli nawet osiągnęła pewne rezultaty w stosunku do cen produktów żywnościowych, nie mogła przeszkodzić coraz to wydatniejszemu obniżaniu jakości towaru.

Na koniec warto zaznaczyć, że zwyżka cen objęła również i inne dziedziny. I tak np. władze kontrolne, które dzisiaj spotkać można w każdym dziale publicznego i prywatnego życia gospodarczego Niemiec, były ostatnio zmuszone przeciwdziałać zwyżce czynszów mieszkaniowych.

O NAS U OBCYCH

Wizyta rumuńska min. Becka. — «Volk und Reich» o Obozie Zjednoczenia Narodowego

Na marginesie *wizyty bukareszteńskiej płk. Becka* *Berliner Tageblatt* (nr 197—198 z 28.IV) podkreśla rolę tej wizyty w dziele ukształtowania przyszłego układu sił na wschodzie Europy.

Próby wprzągnięcia Rumunii przez własnych i ościennych mężów stanu w rydwan polityki sowieckiej skończyły się niepowodzeniem, zmuszając ją do szukania nowych dróg dla wybrnięcia z niewygodnej czy nawet kłopotliwej sytuacji. Nie likwidując przyjaznych stosunków z Francją, ani też nie stawiając kraju w obliczu izolacji, Rumunia zdecydowała zbliżyć się do Polski, tym bardziej, że — jak powiada „B. T." — ta sama Polska umiała sobie przez zawarcie paktu z Rzeszą Niemiecką stworzyć dobre zabezpieczenie przed Rosją Sowiecką, nie rezygnując przy tym ani z przyjaźni, ani też z wojskowej pomocy Francji. „Za to odważne posunięcie polityczne — pisze tu dosłownie „B. T." — należy się Polsce i Rumunii od całej Europy wdzięczność, gdyż zadomowienie się komunizmu w Polsce i w Rumunii musiałoby pociągnąć za sobą bezwzględnie zbrojną akcję państw europejskich przeciwko Sowietom."

Niemcy — ciągnie dalej „B. T." — uważałyby za rzecz całkiem naturalną, gdyby Polska i Rumunia wyciągnęły w obliczu niebezpieczeństwa bolszewickiego właściwe konsekwencje i uznały, że potrzebą chwili jest zblokowanie się wszystkich państw, niezależnych od Moskwy. Jeżeli do tego nie doszło, to trzeba to złożyć nie tylko na karb istniejących jeszcze w tych państwach więzów uczuciowych z Francją — państwa, które zresztą nigdy nie miało wspólnych granic ze Sowietami — lecz również i na karb odnoszenia się tych państw z rezerwą wobec wszystkiego, co się w Niemczech dzieje, bez równoczesnego zwrócenia uwagi na głębokie przemiany, jakie się tam dokonały.

Sojusz wojskowy między Rumunią a Polską wyrósł na tle wyżej przedstawionych warunków i przestanek. Na skutek tego, że nosi on wszelkie znamiona półśrodka, paliatywu — nie posiada ten sojusz — zdaniem „B. T." — cech trwałości. W obliczu rozgrywki z kolosem rosyjskim obu państwom zabrakłoby sił na skuteczne przeciwstawienie się wrogowi. Oba państwa nie mogłyby też liczyć na pomoc ani Francji, ani Anglii. „Wystarczy odrobina znajomości spraw wojskowych — pisze tu „B. T." — by zrozumieć, że

pomoc mogą dać jedynie Niemcy oraz montowany pod protektoratem Włoch blok państw południowo-wschodnich... Im prędzej utrwali się takie zrozumienie stanu rzeczy w Warszawie i Bukareszcie, tym lepiej będzie dla zainteresowanych stron, gdyż tak doniosła kolaboracja obronna w obliczu ataku ze strony Rosji wymaga przygotowania, by mogła dać należyty wynik."

Sens powyższych uwag nie nasuwa nam — rzecz prosta — żadnych wątpliwości co do *istotnych* tendencji niemieckich, przejawiających się — jak to m. in. wyraźnie wynika z przytoczonego cytatu—w sugerowaniu konieczności stworzenia bloku antysowieckiego... z udziałem Niemiec.

*

Wśród innych jeszcze głosów niemieckich o wizycie bukareszteńskiej płk. Becka na uwagę zasługują głosy *Völkischer Beobachter* (nr. 120 z 30.4) oraz *Ostdeutsche Morgenpost* (nr. 117 z 30.4). Oba te pisma określają zgodnie wizytę płk. Becka jako jeden z etapów walki polityki i dyplomacji Warszawy z Pragą.

„Völkischer Beobachter" uważa za najcenniejszą zdobycz wizyty przede wszystkim renesans przyjaznych stosunków polsko - rumuńskich, stwarzający punkt wyjścia dla nowej gry politycznej. W chwili obecnej stoi Rumunia w obliczu dylematu: albo z Warszawą, albo z Pragą. Szanse stron — powiada „V. B." — są co prawda wyrównane, niemniej jednak trzeba się liczyć z tym, że mogą się one łatwo przechylić na stronę Warszawy.

„Ostdeutsche Morgenpost" mówi wyraźnie o załamaniu się w Rumunii wpływów czesko - sowieckich działających przeciwko Polsce. „Na płk. Becku — konkluduje to pismo — ciąży teraz trudne zadanie zlikwidowania bez reszty podwójnej gry Pragi wobec Polski."

*

Czołowy polityczny miesięcznik niemiecki „*Volk und Reich*" przynosi w ostatnim n-rze (z kwietnia b. r.) obszerną rzecz dra P. Heinza Seraphina z Królewca, poświęconą analizie *aktualnego układu sił politycznych w Polsce, jaki się zarysował w związku z akcją montowania „Obozu Zjednoczenia Narodowego"*. Z dotychczas opublikowanych w niemieckiej prasie codziennej i periodycznej uwag i opinii na temat deklaracji płk. Koca, O. Z. N. i wytworzonej stąd sytuacji w Polsce, uwagi dra Seraphina należy uznać nie tylko za najbardziej dotąd wyczerpującą, ale również i za najbardziej charakterystyczną wypowiedź niemiecką na powyższe sprawy.

Wywody swoje poprzedza dr Seraphim analizą życia politycznego w Polsce od rewolucji majowej do ostatnich wyborów parlamentarnych, podkreślając mocno w tej analizie niepowodzenie wszelkich prób, jakie poczyniono w tym okresie dla zmontowania obozu prorządowego.

Ostatnie wybory parlamentarne, które — jak sądzili twórcy nowej konstytucji — miały wprowadzić tu pewną zasadniczą zmianę, zawiodły także. Wybory te nie wniosły niczego nowego do istniejącego układu sił politycznych, wprowadzając do izb reprezentantów tych samych kół i ugrupowań, które wodziły rej w zlikwidowanym BBWR. Z pośród powyższych ugrupowań zasługują — zdaniem autora — na uwagę:

1) *konserwatyści*, którzy jednoczyli obszarników z kresów wschodnich oraz wielki przemysł;

2) *grupa płk. Sławka*, w chwili obecnej mało aktywna, podkreślająca prawa parlamentu i nastawiona wyraźnie antysemicko;

3) nieliczna, ale wpływowa *grupa płk. Koca i płk. Miedzińskiego*, która przed 2 laty odseparowała się od grupy płk. Sławka, ustosunkowywująca się pojednawczo do grawitujących na lewo kół obozu prorządowego, podkreślająca najsilniej autorytet marszałka Śmigłego - Rydza i zaliczająca do koła swoich najbliższych najprawdopodobniej płk. Becka;

4) *ugrupowania społeczno - reformatorskie*, koncentrujące się około dzisiejszego wicepremiera Kwiatkowskiego, ministra rolnictwa Poniatowskiego i wojewody śląskiego Grażyńskiego. Koła te — jak mówi autor — wykazywały się bardzo ścisłymi stosunkami z t. zw. Naprawą, reprezentującą w pewnym stopniu tendencje socjalistyczne, nastawioną wrogo do wielkiej własności ziemskiej i dążącą do skaptowania sobie — przez zastosowanie różnych reform przede wszystkim opozycji chłopskiej.

Wyżej scharakteryzowany stan rzeczy — ciągnie dalej dr Seraphim — wskazujący na daleko posunięte rozbicie obozu prorządowego, nie mówiąc już wcale o opozycji z lewa i prawa, skłonił czynniki państwowe do stworzenia czegoś, co by zastąpiło dawniejszy BBWR i umożliwiło skoncentrowanie tych ugrupowań, które w życiu państwowym uznają zasadę rządów, opartych na autorytetach. Tu właśnie — zdaniem autora — należy szukać zasadniczych motywów wystąpienia płk. Koca z deklaracją ideowo - polityczną nowego Obozu, który ma stanowić szeroką platformę prac i poczynań na rzecz rozbudowy sił państwa na wewnątrz i na zewnątrz.

Odzew — mówi dalej dr Seraphim — jaki wywołała deklaracja w społeczeństwie polskim, był niejednolity. Poza całym szeregiem akcesów indywidualnych i grupowych — w ostatnim wypadku składanych przez władze centralne organizacyj i ugrupowań, a więc siłą rzeczy niezupełnych, bo nie uwzględniających woli reprezentowanych przez te organizacje członków — ugrupowania polityczne wykazały naogół wobec deklaracji pewną rezerwę. Konserwatyści przyjęli ją pod pewnymi warunkami, podobnie jak i koła naprawiackie; negatywnie ustosunkował się do współpracy w ramach Obozu Moraczewski, przywódca „prorządowych związków zawodowych". Opozycja zajęła wobec deklaracji zdecydowanie wrogie stanowisko, i to zarówno na lewicy, jak i na prawicy. Szczególnie niemiły dla kół rządowych musiał być — zdaniem autora — fakt usunięcia się od współpracy w ramach Obozu kół ludowych, jeśli się zważy, że przecież deklaracja kładła specjalny nacisk na jak najwszechstronniejsze rozwiązanie spraw wsi. Zdecydowanie wrogo do deklaracji i Obozu odnosi się także t. zw. front Morges, prowadzony przez gen. Hallera i Witosa, a opierający się na pewnych kołach chrześcijańsko - demokratycznych, na profesorach szkół wyższych i na kołach inteligenckich, głównie wolnomularskich.

Z tak zanalizowanej sytuacji wyciąga dr Seraphim wniosek, że o pełnym obrazie właściwego ustosunkowania się wobec deklaracji płk. Koca i Obozu całego społeczeństwa polskiego zadecyduje to, co odtąd rząd będzie w praktyce przeprowadzał. Zagadnieniem kardynalnym w chwili obecnej jest kwestia, czy płk. Kocowi uda się dotrzeć do szerokich mas chłopskich i uaktywnić je. Poza tym nie bez znaczenia jest tu również i okoliczność, że w kraju 1/3 ludności należy do mniejszości narodowych, wobec których w praktycznym realizowaniu zasadniczych punktów deklaracji będą musiały być zastosowane właściwe metody i posunięcia.

PRZEGLĄD PRASY

Gdańsk musi zacisnąć pasa

Według „ILUSTROWANEGO KURJERA CODZIENNEGO" (nr. 123 z 5.5) życie gospodarcze W. M. Gdańska, nastawione na dwie różne funkcje, a mianowicie na obsługę rynku wewnętrznego oraz na obsługę polskiego handlu zamorskiego, charakteryzuje nierównomierny i niejednolity rozwój.

„Otóż — pisze I. K. C. — a ile przedsiębiorstwa, związane z portem, w wyniku stałego wzrostu polskiego obrotu handlowego z krajami zamorskimi przeżywają okres dobrej koniunktury, o tyle firmy, pracujące na użytek rynku wewnętrznego, w swych obrotach w czasach ostatnich stale się kurczą."

Przyczyny tego zastanawiającego zjawiska są — zdaniem pisma — następujące: 1) sposób przeprowadzenia dewaluacji guldena gdańskiego, 2) kurczenie się liczby konsumentów, 3) wysokość budżetu W. Miasta.

Jeżeli chodzi o przeprowadzenie *dewaluacji guldena*, to sprawa ta

„została zdecydowana i przeprowadzona dosłownie w przeciągu kilku godzin, nie mogła więc być należycie przygotowaną. W rezultacie dała ona skarbowi W. Miasta wprawdzie korzyści (oszczędności budżetowe, spowodowane przez zmniejszenie się realnej wartości płac urzędniczych, redukcja zadłużenia wewnętrznego o różnicę kursu guldena, wzrost wpływów podatkowych) — wywołała jednak równocześnie poważne perturbacje w gdańskim życiu gospodarczym. Zahamowała ona mianowicie na długi czas proces kapitalizacji wewnętrznej, zabijając zmysł oszczędności przeciętnego Gdańszczanina, a równocześnie poważnie naruszyła substancję gdańskiego kupiectwa przez zmniejszenie realnej wartości jego rezerw bankowych oraz przez rygorystyczną politykę cen, zastosowaną w interesie konsumenta przez gdańskie władze. Kupcy zmuszeni zostali mianowicie do sprzedania swych zapasów towarowych, pochodzących z okresu przeddewaluacyjnego po cenach starych, co w swej konsekwencji doprowadziło do znacznego ograniczenia ich kapitałów obrotowych."

Druga z wymienionych przyczyn, to *kurczenie się liczby gdańskich konsumentów*.

„Od połowy roku 1935, a więc od chwili pogorszenia się sytuacji materialnej Rzeszy i spowodowanych przez to trudności finansowych W. Miasta opuściły Gdańsk tysiączne rzesze niemieckich emerytów i wdów po niemieckich urzędnikach, którzy od długich lat swe pensje w Gdańsku spożywali. Przenieśli się oni do Niemiec. Senat gdański wysyła ponadto, celem zwalczenia bezrobocia, tysiące bezrobotnych do Niemiec, którzy znajdują pracę i zarobek w niemieckim przemyśle zbrojeniowym. Wreszcie opuszcza Gdańsk corocznie kilka tysięcy młodych ludzi w wieku poborowym, którzy jako t. zw. „ochotnicy" idą do Rzeszy odbyć swój rok służby wojskowej. Tymi trzema kanałami odpłynęły i w dalszym ciągu odpływają z Gdańska wielotysięczne rzesze konsumentów, co w dotkliwy sposób zwęża podstawy egzystencji gdańskiego handlu wewnętrznego."

Wreszcie ostatnią z wymienionych przyczyn aktualnych trudności gospodarczych Gdańska, to *wysokość budżetu W. Miasta*.

„Administracja gdańska została już przez pierwsze senaty W. Miasta zorganizowana w sposób niezmiernie kosztowny i w ramach, nie pozostających w żadnym stosunku do funkcji władz gdańskich...

Ponieważ z górą 50 procent gdańskich wydatków budżetowych idzie na płace urzędnicze, więc oszczędności należało szukać przede wszystkim na terenie wydatków personalnych.

Senat zwolnił istotnie w ciągu lat ostatnich większą ilość urzędników wyższych i starszych, został jednak przez czynniki partyjne, pragnące dotrzymać stronnikom udzielonych różnych przyrzeczeń, zmuszony do zatrudnienia licznych sił młodszych. Ponieważ urzędnicy zwolnieni muszą otrzymywać emerytury, więc próba osiągnięcia oszczędności na tym terenie skończyła się w rezultacie niepowodzeniem."

Te wszystkie przyczyny składają się w sumie na to, że Gdańsk będzie musiał odtąd prowadzić rozsądniejszą, niż dotąd, politykę gospodarczą i sięgnąć do dalekoidących oszczędności.

Polityka i gospodarka

Jak słusznie zwraca uwagę WIEK NOWY (nr. 10.783 z 4.5), sprawa stosunku polityki do gospodarki przechodzi ostatnio ewolucje dość interesujące i przybiera chwilami charakter wręcz paradoksalny. Tak zwany prymat życia gospodarczego nad po-

lityką nie ostał się np. wobec koncepcji autarkicznych, które zagnieździły się przede wszystkim w Niemczech hitlerowskich.

„Zarówno Hitler, jak i jego najbliżsi współpracownicy z całą namiętnością wystąpili przeciwko twierdzeniu o prymacie życia gospodarczego. Uznali oni te teorie za przebrzmiałe echo zgniłego liberalizmu, za przejaw szkodliwy z punktu widzenia polityki narodowej i odpowiadającej ambicjom wielkiego narodu polityki państwowej."

Rzecz jasna, że przy tak pojmowanej polityce autarkia jest oczywiście ziawiskiem samo przez się zrozumiałym. Autarkia w rozumieniu Hitlera miała stać się podstawą i warunkiem niezależności państwa, zarówno w czasie wojny, jak i w czasie pokoju. Tymczasem stało się wręcz coś przeciwnego.

„Autarkia jest systemem izolacji politycznej, a więc oddzielania się jednych państw od drugich, a współpraca odbywa się tylko na wąskim torze kompensacji, czyli wymiany dóbr między dwoma państwami. Kompensacja jest oczywistym następstwem autarkii. Stanowi ona do pewnego stopnia analogię do systemu układów bilateralnych, proponowanego przez Hitlera a przeciwstawiającego próbom międzynarodowego porozumienia na szerszej podstawie tylko dwustronne układy między państwami".

Polityka autarkii, stanowiąca równocześnie politykę zbrojeń, wywołała jednak istny wyścig tych zbrojeń, stwarzając — prawem reakcji — znowu nowe możliwości jakiejś współpracy gospodarczej (co specjalnie daje się wyczuć w życiu państw anglosaskich i skandynawskich), wykazując równocześnie w całym szeregu wypadków zawodność powodzenia koncepcji autarkicznego życia gospodarczego.

„Dziś może jest dopiero odpowiednia chwila do podjęcia prób rozmów na temat międzynarodowej współpracy gospodarczej. Dziś, gdy autarkia w wielu krajach okazała się zawodna, a wyścig zbrojeń pośrednio pobudził koniunkturę, wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, że wyczerpane Niemcy chętnie jużby teraz przyjęły podaną im do współpracy gospodarczej dłoń. Wszystko wskazuje, że zbliżamy się do okresu, w którym hasło międzynarodowej współpracy gospodarczej na tle przedstawionej tu ewolucji nabierze aktualności, a głoszona po końcu wojny teoria prymatu gospodarczego nabierze też może istotnej treści".

III Powstanie Śląskie

Na marginesie 16-tej rocznicy III Powstania Śląskiego „POLSKA ZACHODNIA" (nr. 120 z 3.5) kreśli następujące uwagi:

„Trzecie Powstanie Śląskie było aktem, wyrosłym z takiego samego ducha patriotyzmu, co powstanie kościuszkowskie. Ale było to nie tylko dobrą ideą, nie było li tylko gestem, odruchem honoru! Było aktem wyzwolenia z pod przemocy przemożnego wroga, ale nie było aktem rozpaczy! Było twórczym czynem do najdrobniejszych szczegółów przemyślanym, genialnie przygotowanym przeprowadzonym! Lud śląski chciał żyć i okazał, że umie żyć, że jest godny wolności."

Z tego też względu — zdaniem pisma

„rocznice Trzeciego Powstania Śląskiego, dziś już święcone z uzasadnioną dumą narodową Śląska, powinny stać się świętem całej Rzeczypospolitej.
Tak jest: Trzecie Powstanie Śląskie tak cudowne, może dlatego że na tak wspaniałym podłożu ideowym wyrosłe i w tak świetny sposób zrealizowane, stanowić będzie po wieki wieków jedną z najdumniejszych rocznic narodu polskiego."

Święta w III Rzeszy

Katowicka „POLSKA ZACHODNIA" (nr. 123 z 6.5) zwraca uwagę na przesycenie społeczeństwa niemieckiego świętami, szczodrze organizowanymi szczodrze w dzisiejszych Niemczech.

„Publika niemiecka — czytamy tam — jest przekarmiona uroczystościami, festynami, wielkimi demonstracjami. Ustawiczne dekorowanie okien (dekoracja pierwszomajowa zostaje aż do 9 maja, ażeby wycieczkom z prowincji przybywającym dla obejrzenia wystawy „Dajcie mi cztery lata czasu!" użyczyć sposobności podziwiania dekoracji Berlina). Folgowanie, zbiórkowanie, przemarsze i fackelzugi, demonstracje i powinszowania — zdają się męczyć ogół niemiecki. Przywykło się już do tych ram i do całej pompy z wnoszeniem sztandarów, graniem marszów i hymnów, z tysiącami wystającymi od świtu pomimo mrozu i chłodu. Nieletnie młokosy, ośmioletnie dzieci marzną w stadionie takim czy owym ku rozpaczy rodziców — od 4 czy 5 rano, azeby o godz. 8 czy 9 rano przejść w defiladzie. Tak hartuje się tych młokosów o gołych kolanach i w cienkich koszulkach skautowskich — efektem są liczne choroby tych dzieci.
Przekarmienie społeczeństwa świętami — to nie jedyne powody tego nastroju pewnego zobojętnienia i spadku temperatury tłumu. Kwestie natury gospodarczej, kłopoty z wyżywieniem, zwyżka cen, drożyzna — wszystko to razem budzi obawę, czy eksperyment 4-rolatki uda się i czy nie odbije się on zanadto przykro na obywatelu. Te codzienne troski sprawiają, iż obywatel niemiecki coraz mniej zapala się do parad i coraz poważniej myśli, co będzie.
Troska bowiem i kłopoty są największym wrogiem entuzjazmu."

Wyprawa Kijowska 1920 roku

POLSKA ZBROJNA (nr. 125 z 7.5) przynosi pełny tekst odczytu gen. T. Kutrzeby, wygłoszonego na powyższy temat przez radio w dniu 5.5. Wyprawie kijowskiej przyświecało zdobycie należnych Polsce granic wschodnich, przyczynienia się do powstania niezależnej republiki ukraińskiej i chęć zapewnienia Polsce zupełnej samodzielności w wewnętrzno-politycznym urządzeniu kraju. Wyprawa miała rozmaite cele:

„Celem strategicznym było zmuszenie Rosji do natychmiastowej wojny nieskonsolidowanymi siłami, w celu ułatwienia nam wywalczenia pokoju, odpowiadającego naszym potrzebom."
Celem operacyjnym było rozbicie operujących na Ukrainie armii rosyjskich, dojście do Dniepru oraz sformowanie przy udziale wojsk polskich armii ukraińskiej, która by następnie wzięła na siebie zadanie obrony Ukrainy przed najazdem sowieckim. Zbędne wówczas na Ukrainie armie polskie, po zluzowaniu przez nowopowstałą armię ukraińską, byłyby wolne do rozstrzygającej walki z głównymi siłami sowieckimi, gdziekolwiekby się one ujawniły.
Wreszcie celem politycznym wyprawy kijowskiej było umożliwienie ponownego utworzenia Ukrainy ludowej, naturalnej sojuszniczki Polski w obronie przeciw zaborom Rosji. W sumie wyprawa kijowska miała nam ułatwić zwycięstwo nad Rosją i umożliwić uzyskanie pokoju, zabezpieczającego nas trwale."

W zakończeniu swego odczytu gen. Kutrzeba stwierdził co następuje:

„Wyprawa kijowska była jednym z ogniw szeregu tych zamierzeń Piłsudskiego, przez które chciał dojść i w końcu doszedł do militarnego zwycięstwa nad Rosją.
Te trzy ogniwa wstępne, to umożliwienie Rosji pobicia Denikina, następnie odrzucenie ofiarowanego nam przez Rosję pokoju i w końcu czyn zbrojny—wyprawa kijowska.
Natomiast aktem decydującym o wyniku wojny było bitwa nad Wisłą i bitwa nad Niemnem.
Historycznym i niezapomnianym faktem jest, że wojska polskie w r. 1920 stały nad Dnieprem."

Warunki prawdziwej konsolidacji

Na łamach POLONII (nr. 4506 z 2.5) prof. Stanisław Stroński ustala następujące trzy warunki konsolidacji społeczeństwa, pojętej jako rzetelne zjednoczenie narodu, bez ubocznych myśli o wyłącznej władzy dla jednej grupy politycznej:

1. O zjednoczeniu mówi się dlatego, że nie ma u nas jednej grupy, która by była zdolna władać i nieść całą odpowiedzialność, odsuwając wszystkie inne. Co więcej, na tle zjawisk życia współczesnego, czujemy i rozumiemy, że wyłączność rządów jednego obozu, utrzymywana naciskiem władzy, nie zgadza się z duchem naszego rozwoju dziejowego i naszych pojęć o życiu obywatelskim. Zarazem zaś zjednoczenie nie jest podporządkowaniem się jednej grupie kierującej, a więc niezbędne tu jest rzetelne równouprawnienie i dobór w kierownictwie na podstawach rzeczowej oceny uzdolnień.
2. Wezwanie imienia narodu, w haśle zjednoczenia narodowego, musi być również rzetelne. Tkwiąca w nim wiara, że naród jest gospodarzem w państwie, które stworzył i któremu daje treść swą pracą i twórczością, nie będzie czczym słowem. Wierzyć w naród, a nie dopuszczać go prawdziwie i rzeczywiście do głosu, byłoby jakby oszukiwaniem swoich własnych przekonań.
3. Istnienie różnych grup przekonaniowych, paru lub kilku, jest niejako koniecznością przyrodzoną w życiu politycznym, a ich współdziałanie bywa trudne, ale jest możliwe, jak świadczą przykłady zewsząd i ciągle. Tylko, że takiego zjednoczenia narodowego dla współdziałania nie należy pojmować jako przeobrażenia wszystkich grup w jedną. Czy na to, aby, po wielu zachodach lub i gwałtach, w tym wreszcie jednym obozie od jutra znowu tworzyły się grupy? Różne grupy, istniejące nadal osobno, mogą zespolić się, oczywiście nie około jakichś zasad gołosłownych, ale około ściśle określonych prac, jakie mają być wykonane w ciągu kilku najbliższych lat, w dziedzinie ustroju i ładu prawnego, oświaty, gospodarstwa, obrony państwa i polityki zagranicznej. Można u nas ustalić zgodnie niezbędny zrąb takich prac i można zgodnie poprzeć ich wykonanie".

Próżny trud red. Mackiewicza

Red. Mackiewicz wysunął znowu— niewiadomo już zresztą po raz który — na łamach SŁOWA (nr. 114) sprawę pogodzenia się endecji z obecnym systemem. Jako „dziennikarz niezależny" widzi on dwie strony, z których każda wzywa do zjednoczenia narodu.

„Powiadam jednej stronie: nie wolno deklamować o zjednoczeniu narodowym i jednocześnie atakować tego, co zaszło dobrego w Polsce, mianowicie ustanowienia dobrego ustroju. Powiadam stronie drugiej: wielkiem ułatwieniem zjednoczenia narodu byłoby uznanie zasług przeciwnika, które to zasługi należy ocenić, przeniknąwszy mgłę sporów a nawet walk najboleśniejszych i niedawno staczanych."

Uwagi swoje kończy red. Mackiewicz następującym zwrotem:

„W dramacie Ibsena Dżon Gabriel Borkman dwie kobiety ponad głową ukochanego zmarłego podają sobie ręce".

Niestety, oferta czy zachęta red. Mackiewicza nie odniosła skutku. Stronnictwo Narodowe nie usłuchało red. Mackiewicza. „WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY" stwierdził wobec tej oferty, że

„stosunek Stronnictwa Narodowego do Marszałka Piłsudskiego podyktowany był nie osobistymi względami, lecz oceną jego polityki i jego stanowiska w państwie. Śmierć oceny tej zmienić nie mogła."

Swaty nie udały się red. Mackiewiczowi. To też „DZIENNIK PORANNY" (nr. 119 z 1.5) kpi sobie zeń tak oto:

„Panie Mackiewicz! No i widzi Pan? Oni nie zmienili się i nie zmienią się nigdy, tacy są od lat i takimi zostaną, muszą zostać.
Tylko, że pan tego nie chce albo nie może zrozumieć."

A katowicka „GAZETA ROBOTNICZA" (nr. 111 z 30.4) analogię z Ibsena nie bez poważnej racji nazywa „fatalną";

„Borkman był skrachowanym działaczem przemysłowym. A poza tym w dramacie obie kobiety kochały nieboszczyka... obie!"

WŚRÓD KSIĄŻEK

Wacław Berent. Diogenes w kontuszu. Opowieść o narodzinach literatów polskich. Warszawa. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa. R. 1937.

Pojawienie się nowej książki Berenta jest zawsze zdarzeniem niepośledniej wagi.

Kilka lat wstecz rzucił W. Berent wskazanie, iż epoka Powstania Kościuszkowskiego i Legionów jest dla badaczy kultury i literatury narodowej kopalnią, z której winni wydobywać skarby myśli, talentów, charakterów, obyczajów i wzbogacać nimi społeczeństwo. Z rzadką konsekwencją Berent sam wierny jest rzuconemu hasłu. „Diogenes w kontuszu" sprowadza nas do czeluści „kołłątajowskiej Kuźnicy". Słyszymy głos żywy najlepszych chęci króla, mecenasa tłustych i chudych gryzipiórków, Dekerta walczącego aż po deskę grobową o prawa dla mieszczan, wreszcie grzmiące perory oburzonej na „niecne zamachy" szlachty. Chwilami boleśnie zatracamy poczucie odległości, tak się niektóre poglądy i niektóre sprawy przechowały młodzieńczo do dziś.

Na mistrzowsko podmalowanym tle zarysowuje się postać dotąd prawie nieznana, przecież w swoim czasie znamienita — kanonika Jezierskiego, którego współcześni przyrównywali do Skargi. „Pasmem nieskończonych omyłek była cała przeszłość jego — powie Kołłątaj". Z ojcowskiej kancelarii prawniczej w Łukowie wyruszył duch niespokojny do Złotej Chorągwi Ostrogskiej i rychło stał się słynnym zagończykiem, a że „mimo hulatyki sarmackiej, pełnił służbę z sumiennością Niemca", więc z czasem objął komendę chorągwi. I gdy kariera wojskowa stanęła mu otworem — zmienił piękny mundur na — sukienkę zakonu OO. Misjonarzy. Trafił się niespodziewany mecenas, który wysłał „braciszka" na studia do Włoch i Holandii. Po powrocie Komisja Edukacyjna mianowała go generalnym wizytatorem szkół. Był potem deputatem w Trybunale Koronnym. On to, kanonik Jezierski otwierał Sejm Wielki u Fary... wzywając króla i Stany do rychłego przepisu lepszych wreszcie praw narodowi polskiemu". To była działalność jawna. A w Kuźnicy pojawił się nowy anonim o piórze ciętym, a trafnym, o niebyle jakim zmyśle psychologicznym. Jakże warte są dziś jeszcze odczytania te słowa mnicha Jezierskiego, pisane krwią gorącą...

Przypisywano Jezierskiemu autorstwo „Katechizmu o tajemnicach rządu polskiego". Była to książeczka przez jednych potępiana i zakazana, przez innych tak czytana, że odbito kolejno aż 4 wydania, rzecz nie często spotykana w Polsce ówczesnej, podobnie jak w Polsce dzisiejszej. Tym autorem rewolucjonistą był jednak kto inny, o nazwisku w innej dziedzinie głośniejszym — Jan Śniadecki.

Dużo wydobytego z pyłu zapomnienia materiału zawiera też „Opowieść z zarania inteligencji krajowej — Zabawy przyjemne i pożyteczne". Rysują się tu sylwetki pięknych Włoszek, których serca zdobyli legioniści, obok nich występuje „metalizyk z Pomorza", kasztelanic hr. Mier i synowiec znanego warszawskiego bankiera Fryderyk Schultz.

Jak lity pas słucki mienia się tu opowieść autora Żywych Kamieni — oby jak najwięcej znalazły czytelników.

Z. D. K.

Józef Sosnowski. Myśli niepodległe. Główna Składnica Harcerska. Warszawa. 1936. Str. 61.

Literaturę harcerską pomnożyła niedawno nowa cenna praca, związana z osobą Józefa Piłsudskiego. Autor jej, znany i płodny pisarz harcerski, dał nam mianowicie książkę, którą, jak mówi na wstępie, traktuje „jako kanwę do snucia myśli o Największym Polaku".

„W gawędach tych — zaznacza dalej — rozmyślnie starałem się jak najczęściej cytować słowa samego Marszałka, niech Sam z kart tej książki głosi harcerzom swe wielkie prawdy służby w Polsce, swe „myśli niepodległe". I jeszcze jeden szczęśliwy pomysł miał autor — oto rozczłonkował temat na szereg gawęd, które do pewnego stopnia odpowiadają poszczególnym punktom prawa skautowego. Dzięki temu czytająca książkę młodzież będzie mogła dość łatwo i z niemałym pożytkiem uwypuklić sobie łączność wewnętrzną, jaka istniała zawsze i istnieje nadal między Patronem Związku Harcerstwa Polskiego, a jego zasadniczymi postulatami ideowymi.

Wartościowa praca harcmistrza Józefa Sosnowskiego posiada jedno niedociągnięcie, tyczące się strony zewnętrznej wydawnictwa: ubrano je w brzydką, nieestetyczną okładkę. A przecież sam temat, jak i to, że rzecz dedykowano: „Tym, którzy w harcerstwie służyli Komendantowi", nakładały obowiązek szczególnej troski o piękną dla książki szatę.

Tomasz Piskorski.

Ewa Grodecka. Rzeka. I Bieg górny. Ilustrował Tadeusz Orłowicz. Nakładem „Na Tropie", Katowice, 1935 r. Str. 195.

Pod nazwą „Rzeki", nazwą symbolizującą życie drużyny harcerek, ukazała się książka z zakresu metodyki harcerstwa żeńskiego. Autorka w sposób nawskroś oryginalny rozwiązuje tutaj szereg istotnych problemów wychowawczych, które zjawiają się w „próbnym" okresie istnienia drużyny i wśród jej członkiń, zdobywających stopień ochotniczki. Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że jest to praca specjalna, mogąca zainteresować wyłącznie harcerski świat instruktorski, lub co najwyżej, sfery nauczycielskie. Ogromnie dużo bowiem da ona również tym wszystkim osobom, które widząc w harcerstwie najlepszą organizację młodzieży, chcieliby jej pomóc oraz poznać bliżej drogi, jakimi idzie w tej organizacji doniosła i odpowiedzialna akcja urabiania przyszłych obywatelek Rzplitej.

„Rzeka" toczy się w formie opowiadania, przy czym nurt jego jest żywy i przedziwnie czysty. „Książka ta nie stanowi całości — pisze we wstępie do niej autorka — jest tylko „górnym biegiem" „Rzeki". W „biegu środkowym" drużyna Wandy, a zwłaszcza zastęp Kamieni, dotrze do stopnia pionierki i w życiu swym będzie pełnić służbę pionierską. W „biegu dolnym" zobaczymy drogę tych samych dziewcząt, jako samarytanek. Jakie będzie ich życie „w morzu"? — Zapewne wypełnione harcerskimi wędrówkami".

Należy życzyć, aby następne części jak najprędzej wzbogaciły piśmiennictwo harcerskie i stanowiły równie cenny doń wkład, jak i część pierwsza.

Tomasz Piskorski.

Michał Rusinek: Pluton z dzikiej łąki. Powieść. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa. Rok 1937. Str. 328.

Nowa pozycja bogatej już literatury, opartej na tle wspomnień z przedwojennej szkoły „galicyjskiej". Literatura ta ma za sobą już nie byle jakie pozycje i nie byle jakie nazwiska, Kaden-Bandrowskiego, Nowakowskiego, Zegadłowicza, Parandowskiego. Jeśli prawdą jest, że co ma ożyć w literaturze, musi umrzeć w życiu, należałoby wnosić, że ze wszystkich typów przedwojennego szkolnictwa w Polsce — szkoła galicyjska najbardziej już należy do przeszłości. Skąd inąd wiemy, że jest bodajże wprost przeciwnie.

W atmosferę świeżych jeszcze dyskusji, wywołanych szczególnie książkami Zegadłowicza i Parandowskiego, „powieść" Rusinka wnosi szereg nowych i interesujących tonów. Jest ona bodajże najwszechstronniejsza w sposobie odmalowania całości obrazu „szkoły". Gdy punktem ciężkości książek Kadena i Nowakowskiego było odmalowanie indywidualności dziecka na tle domu i szkoły, zaś uwaga Zegadłowicza i Parandowskiego była skierowana przede wszystkim na określone zagadnienia — pierwszego seksualne, drugiego — kryzys wiary w wieku młodzieńczym — Rusinek daje w swej powieści dosyć szeroki przekrój społecznego charakteru ówczesnej szkoły małopolskiej. Zgodnie z tytułem — społeczny ten charakter nie jest odmalowany na tle zajęcia się sprawą tylko jednostki: bohaterem książki jest pewna zbiorowość — pluton, na który składają się chłopcy o różnych środowiskach rodzinnych (choć przeważnie synowie rodzin bardzo ubogich — syn zamożnego lekarza jest już wyjątkiem z ogólnego tła), o różnych charakterach. Galeria tych chłopców jest żywa i zróżniczkowana, w pewnym przeciwieństwie do galerii ciała nauczycielskiego, w której — na tle ogólnej szarości — wysunięte są tylko dwa typy, biegunowo przeciwne co do swej wartości pedagogicznej i narodowej: wysoce dodatni w osobie — co za ironia — germanisty Korabika i ujemny w osobie polonisty Ślączki. Na wyjątkowych zdolnościach wychowawczych pierwszego jest pewna plama, której charakter został przez autora dyskretnie zaznaczony, lecz niewyjaśniony: walenrodyczny stosunek do wykładanego przedmiotu, przejawiający się w zupełnym lekceważeniu właściwych obowiązków nauczyciela.

Ogólny obraz szkoły — raczej ujemny. Demokratyzm faktyczny, przejawiający się w składzie przedstawionej bliżej gromady uczniowskiej, jest wybitną zasługą ofiarnych do ostatniej granicy ludzkiej wytrzymałości rodziców, natomiast nie zdaje się on odpowiadać intencjom już nie tylko profesora Ślączki, lecz i samej szkoły, jako takiej. Patriotyzm austriacki szkoły — wbrew intencjom niektórych profesorów — bez zarzutu, patriotyzm polski — dość urzędowy. W rezultacie jedyny zapalony budziciel patriotyzmu polskiego, Korabik, przeniesiony zostaje na prowincję nie za swój walenrodyzm niedbałego germanisty, lecz za swój ofiarny i celowy trud: dobrego wychowawcy i dobrego Polaka.

Zagadnienie wychowania religijnego i roli księdza prefekta, stanowiące główną treść „Nieba w płomieniach", w książce Rusinka nie zostało podjęte. Natomiast, podobnie jak w „Zmorach" Zegadłowicza, aczkolwiek nie tak jednostronnie i nie tak brutalnie, dużo miejsca zajmuje zagadnienie budzenia się erotyzmu w gromadce uczestników „plutonu z dzikiej łąki". Rzeczą charakterystyczną jest, że zagadnienie to wnosi, jako swe zainteresowanie główne, właśnie jedyny w gronie ubogich kolegów syn zamożnego lekarza. Podobnie, jak wszystkie inne w powieści Rusinka nie wygląda to na literackie zmyślenie, ma raczej charakter ścisłego oparcia się o fakty przeszłości: „tak było".

W tej wysokiej wiarogodności książki Rusinka leży jej wartość, jako pewnego dokumentu historycznego i obyczajowego. W bogactwie i prawdzie przedstawienia licznego szeregu postaci, zarówno z grona młodocianych właściwych bohaterów, jak również spośród ich rodzin i wreszcie — liczbowo najskromniej — nauczycielstwa — leży niewątpliwa wysoka wartość literacka „powieści".

Po udeptanych przez nie byle jakich poprzedników ścieżkach Rusinek poszedł wyjątkowo śmiało i z dobrym rezultatem artystycznym.

S.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rachunek 771, lub 2) blankietem nadawczym P. K. O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 strona 600 zł., 1/2 strony 300 zł., 1/4 strony 160 zł., 1/8 strony 80 zł., 1/16 strony 50 zł. W tekście o 50% drożej.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10—11, środy godz. 17—18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10—14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Redaktor odpowiedzialny: Janusz Koreywo

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem